CHOWAŃIEC

STOWARZYSZENIE KULTURALNO EDUKACYJNE

Drzewiej

pamięć szczecińskich drzew

- Zbiór opowiadań -

SZCZECIN 2021

WSTĘP: Chowańce

AUTORZY OPOWIADAŃ (według kolejności tekstów):

Barbara Stenka, Adrian Kopp, Wojciech Kuczyński, Marcel Mroczek oraz Grzegorz Tyliszczak

ILUSTRACJE: Alicja Gajdis-Mateńko

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Tomasz Przywecki

SKŁAD: Agnieszka Szydłowska

KOREKTA: Wojciech Kuczyński

ISBN: 978-83-960643-1-8

INFORMACJA O LICENCJI:

Creative Commons CC BY-NC-SA 4.0 https://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/4.0/deed.pl

Pomorze Zachodnie

Społecznik na lata 2019-2021 - Program Marszałkowski

Koszalińska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A.

Zbiór opowiadań jest jednym z efektów projektu „Drzewiej – pamięć szczecińskich drzew", zrealizowanego w ramach programu Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego „Społecznik na lata 2019-2021 – Program Marszałkowski".

Jeśli jesteście ciekawi, jak niniejsze opowiadania wypadły w formie audiobooka, zachęcamy do ich odsłuchania na Youtube lub Spotify.

SZCZECIN 2021

Spis treści

Wstęp 4

Dzieci Drzew - Barbara Stenka 8

Upiorny Buk znad jeziora Głębokiego, czyli o tym, że nie każdy Upiór musi być przerażający - Adrian Kopp 50

Upiór o wielu talentach, czyli o tym, że drzewa kryją w sobie wiele niespodzianek - Adrian Kopp 56

Upiorne wspomnienia Buka znad jeziora Głębokiego, czyli o tym, że lepiej się uczyć na błędach (nie tylko swoich) - Adrian Kopp 63

Legenda o Pysznym Klonie - Wojciech Kuczyński 70

Kłótnia wśród Platanów - Marcel Mroczek 104

Za gryfią bramą - Grzegorz Tyliszczak 113

Czy ludzie mają korzenie? - Grzegorz Tyliszczak 119

Wstęp

Czas pandemii dał nam wszystkim mocno w kość. Zamknięcie w czterech ścianach, potrzeba zachowania dystansu i ograniczenia wszelkich spotkań towarzyskich oraz wszelkich wyjazdów z pewnością nie była pozytywna dla nikogo z nas. Rozmyślając w naszym chowańcowym gronie, co może poprawić nasze zdrowie psychiczne w tej sytuacji, od razu przyszła nam do głowy natura. Właśnie stąd urodził się projekt „Drzewiej – pamięć szczecińskich drzew", realizowany w ramach Programu Społecznik Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego: „Społecznik na lata 2019-2021 – Program Marszałkowski". Chcieliśmy połączyć nasze pasje związane z szeroko pojętymi grami bez prądu oraz fantastyką z regionalizmem oraz naturą. Stąd w ramach projektu udało się nam nagrać dwie ekologiczne sesje RPG, przygotować warsztaty typu DIY i cztery prelekcje związane z drzewami oraz niniejszy zbiór opowiadań, do których powstały również nagrania w formie audiobooka.

Wspólnym motywem, łączącym wszystkie opowiadania są szczecińskie drzewa. Czasem z ich perspektywy, a czasem z nimi w tle pragnęliśmy poruszyć kwestie wartości, czy tematy ekologiczne oraz poprzez motywy fantastyczne czy regionalne dotrzeć do młodego odbiorcy. Pisząc i przygotowując opowiadania, staraliśmy się myśleć o mniej więcej 10-letniej czytelniczce lub czytelniku i odpowiednio dostosować poruszaną tematykę oraz język do wieku odbiorcy, w czym pomogły nam konsultacje z pedagogami ze szkół podstawowych. W każdym z opowiadań tworzących niniejszy zbiór występują szczegółowo umiejscowione w naszym mieście drzewa – istnieje zatem możliwość, by wybrać się na spacer trasą wytyczoną przez kolejne „małe

historie", do czego serdecznie zachęcamy.

Zbiór opowiadań otwierają „Dzieci drzew" autorstwa **Barbary Stenki** - niesamowitej szczecińskiej pisarki, poetki, autorki piosenek, scenariuszy i słuchowisk, która przyjęła propozycję współpracy z nami przy tym projekcie. Ogromnie się cieszyliśmy na udział tak cenionej i wielokrotnie nagradzanej artystki w naszym projekcie – bardzo ceniliśmy dotychczasowe powieści i opowiadania pani Barbary, więc - naturalnie - byliśmy zachwyceni, czytając po raz pierwszy opowiadanie przygotowane przez tę wyjątkową szczecińską pisarkę specjalnie do naszego projektu. Dzieci drzew to niezwykle aktualna historia Lenki – osadzona w czasie pandemii i lockdownu, przyprawiona lekką nutą dreszczyku (idealna dla tych, co lubią się trochę bać), porusza kwestie relacji rodzinnych, przyjaźni oraz niesamowitości drzew. Główna część akcji dzieje się w okolicach szczecińskiej Alei Fontann – miejsca, które zapewne każdy mieszkaniec Grodu Gryfa kojarzy.

Po profesjonalnym, otwierającym opowiadaniu, kolejne „małe historie" tworzące nasz zbiór wyszły spod rąk Chowańców – członków naszego stowarzyszenia lub osób blisko z nami współpracujących, dla których był to debiut literacki. Pierwszym nieprofesjonalnym autorem jest **Adrian Kopp** – prezes Stowarzyszenia Kulturalno-Edukacyjnego Chowaniec oraz nauczyciel bibliotekarz. Przygotował on trzy krótkie teksty, składające się z rozmów buka Upiora znad jeziora Głębokiego oraz młodej wiewiórki, zwanej Rudą. Dwoje przyjaciół rozmawia o przezwiskach, wyjątkowych cechach drzew oraz historii Szczecina.

Kolejnym Chowańcem, który dołożył swoją literacką cegiełkę do niniejszej antologii jest **Wojciech Kuczyński**, który z wykształcenia jest filologiem polskim, a zawodowo

pracuje przy bardziej technicznej stronie powstawania książek. Jego opowiadanie – „Legenda o Pysznym Klonie" – jest opowieścią przez wieki, osadzoną w szczecińskich Gumieńcach. Przez historię klonu oraz jego potomków, a także ludzi z nimi związanych, zagłębiamy się w historię Szczecina oraz poznajemy losy dzieci którym dobro przyrody (w tym wypadku drzew) leży na sercu i jest dla nich bardzo ważne. Wojciech dodatkowo wziął na siebie zadania znalezienia wszystkich możliwych błędów oraz stawiania przecinków i kropek tam, gdzie powinny się znaleźć. Jednym słowem odpowiadał za korektę tekstów.

Przedostatnim autorem tworzącym nasz zbiór jest **Marcel Mroczek** – filozof i animator kultury, który prowadzi zajęcia teatralne w Pałacu Młodzieży – Pomorskim Centrum Edukacji w Szczecinie. Spod jego rąk wyszło opowiadanie „Kłótnia wśród Platanów", które zabiera nas na Jasne Błonia, aby spojrzeć na te wspaniałe drzewa, tworzące wyjątkową aleję z nietypowej pespektywy... pomników, samochodów i samych platanów.

Zbiór zamykają dwa opowiadania autorstwa **Grzegorza Tyliszczaka**, związanego zarówno z Stowarzyszeniem Chowaniec, jak i Szczecińskim Klubem Azji. Grzegorz jest absolwentem stosunków międzynarodowych i ekonomii na Uniwersytecie Szczecińskim. Jego dwie historie – „Czy ludzie mają korzenie?" oraz „Za gryfią bramą" – zabierają nas w podróż na szczecińskie Pomorzany, by spojrzeć oczami cisu oraz kasztanowców na ludzi – ludzi, którzy przychodzą i odchodzą, ale których losy, korzenie oraz przeżycia mogą być bardzo uniwersalne.

Poniższy zbiór opowiadań nie powstałby również bez dwóch wyjątkowych kobiet. Mowa tutaj o **Agnieszce Szydłowskiej** oraz **Alicji Gajdis-Mateńko**. Agnieszka to

członkini Chowańca oraz zawodowa mistrzyni komputerów, której rozliczne talenty pozwoliły na zgrabne zebranie wszelkich literek i grafik oraz przygotowanie odpowiedniej czcionki czy interlinii. Alicja natomiast – z zawodu architektka, z zamiłowania niezrównana graficzka – przygotowała wszystkie niesamowite ilustracje, które pięknie korespondują i wzbogacają nasz zbiór opowiadań. Bez zaangażowania obu pań niniejsza antologia nie byłaby taka sama.

Po tym przydługim wstępie i wszelkich podziękowaniach chcieliśmy Wam już tylko życzyć miłej lektury – mamy nadzieję, że w każdym z opowiadań znajdziecie coś dla siebie – czy to będzie ciekawy bohater, czy interesujące miejsce w naszym mieście, czy ważny dla Was temat. Jeśli będziecie chcieli podzielić się Waszymi spostrzeżeniami albo jesteście ciekawi działalności naszego stowarzyszenia, to na końcu możecie znaleźć namiary na nas. Zapraszamy do kontaktu!

Chowańce

Dzieci Drzew

Barbara Stenka

Powiedz mi, drzewo, ile masz lat?
Coś Ty widziało? Coś Ty słyszało?
Powiedz mi, drzewo, jaki był świat,
gdy pierwsze pisklę w twych liściach spało...?

***

Lenka nie przyzna się.

Lenka nikomu nie może o tym powiedzieć.

I tak nie uwierzą.

Niepokój każe jej przeciskać się przez wąski tunel. Ona nie ustąpi.

Powoli posuwa się wśród ułożonych symetrycznie rur, szorując adidasami o piach i beton. Zdarła czubki sportowych butów, które jeszcze rano były nowe, intensywnie turkusowe, a teraz są ledwie szarawe. I można zapomnieć o białych podeszwach.

Lenka brnie przed siebie jak kret. Jej długie włosy przyklejają się do spoconej twarzy i łez.

Duszno.

Dziewczynka chce być jak najdalej od tych korzeni i ścigających ją małych, ruchomych, świetlistych cieni. Jak zimny ogień. Czerwona poświata zaraz ją dosięgnie.

Ona ich nie znosi, choć wie, że mają dobre intencje.

W tej chwili nie lubi nawet swoich kochanych drzew.

Choć to nie one ją skrzywdziły, wystraszyły i zraniły; nie, nie, nie one! To nie ich wina.

Nie.

To Lenka zniszczyła wszystkie lipy na całej Alei Fontann.

Co z tego, że naprawdę, że wcale, zupełnie - nie chciała? Że musi się ratować; a w przypadku obrony koniecznej – nie takie straty jak drzewa są dopuszczalne.

Stało się.

Szczecin jej tego nie wybaczy.

***

1.

Kilka tygodni przed Wniknięciem

*

- Leeena! - woła tata, a w misie miksera wiruje ciasto – przyszła puchata babka piaskowa. - Leeena! - niecierpliwi się, bo przecież mieli piec wspólnie, tymczasem córka tkwi przed monitorem, jakby jej było mało przedpołudniowej zdalnej nauki.

- Zaraz... - dziewczynka nawet nie podnosi głosu, chcąc zmusić tatę do wysiłku usłyszenia jej słów zagłuszonych pracą miksera. - I tak już sam zacząłeś...

Silnik urządzenia wydaje zwalniający wizg i nastaje cisza.

- Czekałem na ciebie prawie godzinę... Razem byłoby inaczej. Chciałaś wspólnie piec... Zmieszałem składniki, a one nie mogą długo zostać w tym stanie. Wiesz, zachodzi

reakcja – tata przyjacielsko przykuca obok Lenki.

- No dobra... - umyka przed nim i bez entuzjazmu bierze się do babki.

A propos: „babki".

Właśnie o babkę chodzi.

Nie o tę pieczoną, a o babkę czyli kobietę. I nie tylko.

- Lena... Jak długo tak będzie... No wiesz... - wzdycha tata i to złości dziewczynkę.

- No co?! Przecież robię. Czy ja coś mówię? Czy się czemuś sprzeciwiam? Co ci się we mnie nie podoba? - patrzy na tatę z wyrzutem (jak zwykle od ponad roku), a on irytuje się, idzie po paczkę papierosów i znika na balkonie. Teraz będzie dymił i wpatrywał się w pomnik Colleoniego na koniu.

- A palenie zabija! I nie tylko palenie! - wrzeszczy Lenka za nim i czuje, że strasznie jej przykro.

Babka jaśnieje w piekarniku.

Ech!

No przecież kiedyś tak bardzo lubili razem piec i gotować.

Ona i on. On i ona.

Lenka i tata. Tata i Lenka.

Dobrze sobie radzili i nikogo im do szczęścia nie brakowało. Lubili swoje mieszkanie przy placu Lotników w Szczecinie. Trzy małe pokoje i całkiem spory balkon. Wystarczy.

Latem kupowali lody w Cinnamon Garden i siadali na ławce na placu, przodem do Alei Fontann i tych nierównych, marniejących już od kilku lat, lip. Lipy też bardzo lubili. Trochę i dlatego, że ich nazwisko do nich nawiązywało. Lipińscy.

Lena Lipińska nie tęskniła za mamą, bo wcale jej nie pamiętała. Dawno, wiele lat temu, mama zaczęła jeździć do pracy, do Austrii. Coraz rzadziej ich odwiedzała, a w końcu zostawiła na dobre. W sumie naprawdę na dobre, bo tata kochał Lenkę, a ona jego. Najmocniej, najgoręcej: to oczywiste i nienaruszalne. Nie było w jej życiu niczego złego.

No nie, raz się zdarzyło – kiedy umarł chomik. Taki kochany, roztargniony, wiecznie zajęty chomik. Nigdy potem nie chciała mieć zwierząt. Nie umiała się pogodzić z tym, że odchodzą. Nawet kwiatów w wazonie nie znosiła, mówiąc, że to już i tak ledwie zwłoki, a nie rośliny. I nie będzie trzymała zwłok w wazonie – a jeśli inni chcą, to proszę bardzo, byle z dala.

Co innego – lipy na alei!

Te żyły i uczestniczyły w życiu, choć aż dziwne było, że zadowalały się tymi wąskimi paskami ziemi wśród betonowo – płytkowej zabudowy. Lenka zawsze była ciekawa, jak to wygląda od spodu: czy korzenie rozrastają się wśród rur i jaką podziemną powierzchnię zajmują. Jak czerpią wodę, omijając kawałki metalu i czasem rozsadzając chodniki.

Marniały. Każdego roku wycinano którąś starą i chorą, zastępowano ją młodą lipką.

Dziewczynka żałowała tych starych. Schylała się i dotykała pni po ściętych lipach. Zabierała do domu grube kawałki drewna, zanim resztki drzew załadowano do

wielkich samochodów i gdzieś wywożono.

Nooo. Teraz już by raczej tak śmiało nie dotykała tych drzew. Ale wtedy...

Poza tym – było cudownie. Po prostu - full wypas.

Jednak...

Niecałe dwa lata temu okazało się, że dla taty nie był to taki wypas, a już na pewno nie „full", co po angielsku oznacza „pełny". Tata nie odczuwał tak pełnego wypasu jak Lenka i chcąc dopełnić swój szczęśliwy byt na tym świecie... Zakochał się i ożenił!

***

- Lenuuuś... - Asia wyciągnęła rękę zapraszającym gestem – Idziesz z nami? Hulajnogi czekają.

Fakt. Kupili z tatą cztery piękne elektryczne hulajnogi. Dla każdego po jednej. Musiały być strasznie drogie. Skąd wzięli na to pieniądze? Tata był matematykiem, a Asia - tłumaczką techniczną pojęć z dziedziny budownictwa.

Dobrali się. Umysły ścisłe.

- Ale ze skłonnością do szaleństw! - dodawali czasem, śmiejąc się właśnie zupełnie szaleńczo.

Z Leną tata aż tak się nie śmiał.

- Idźcie sami...
- Córeczko... - jęknął tata.

- Lenuś, no chodź... - Asia miała w wyrazie twarzy szczere chęci.

- Boli mnie brzuch – burknęła dziewczynka i skuliła się na dywaniku przed łóżkiem. Brzuch wcale nie bolał. Bolało to coś... w środku. Bolało od ponad roku. Było jak trucizna, a Lenka czuła się jak stara lipa przeznaczona do ścięcia.

Jak tata mógł jej coś takiego zrobić! To było gorsze niż pandemia, która spadła nią niemal równo z małżeństwem taty. Małżeństwo było pierwsze. Przeszli przyspieszony proces poznawania się w bardzo ograniczonej przestrzeni, bo lockdown uwięził ich w mieszkaniu. Wymuszona wspólnota: pokój Leny, pokój taty oraz Asi i pokój.... tego tam...

Plus kuchnia i łazienka – dla wszystkich. Lenka od tamtej pory nigdy nie odważyła się choćby przejść w piżamie po mieszkaniu. Wstydziła się przy obcych. Tak, obcych; właśnie – obcych. Wychodziła z łazienki kompletnie ubrana po kąpieli (nawet w trampkach), a strój do spania zakładała po zamknięciu drzwi do swojego pokoju. Na klucz. Bo poprosiła tatę, by jej dorobił zamek i klucz. Bardzo to przeżywał, i wtedy zaczął palić... Ale klucz i zamek w drzwiach - dostała.

O balkonie mogła zapomnieć. Wciąż ktoś go okupował. Rodzinne leżakowanie, kanapeczki, deserki, pelargonie, wspólne czytanie i brrr... Grrry... Gry!

O nie, nigdy nie dała się w to wciągnąć, mimo zaproszeń. Jej noga tu nie stanie.

Chyba, że później, dużo później. Stanęła; zimą, w mroźne dni. Raz, drugi, trzeci... Opatulała się w śpiwór i czapę i siedziała tak sobie wtedy samotnie na balkonie, wpatrując się w migoczącą gwiazdami choinkę i jarmark świąteczny.

Kiedy już można było wychodzić z domu – chodziła do lip. Do swoich kochanych, niezawodnych lip – jedynego, co zostało niezmienne w jej wywróconym do góry dnem świecie.

Tak je kochała, że chyba dlatego łatwo... wniknęła. Wniknąć – znaczy: dostać się do wnętrza czegoś. A także: dotrzeć myślą do istoty czegoś. No i dotarła. Ale jeszcze nie wtedy.

***

Babka, czyli kobieta, czyli Asia – to by jeszcze Lenka przeżyła, przełknęła, może nawet przyjęłaby całe dobro, jakim chciała obdarzyć ją ta osoba. Niesamowicie się starała. Nie była to żadna macocha, nawet nazwisko im zostawiła, poprzestając na swoim, dużo słabszym: Krupnik. Joanna Krupnik zabiegała o sympatię Lenki, niestrudzenie. I beznadziejnie. Tata też. Prawdę mówiąc - to ona, Lenka, zachowywała się okropnie i sama była już tym zmęczona. Tak wciąż odrzucać – to wymaga mnóstwo energii i czujności. I cierpliwości. Konsekwencji. Nieraz myślała, że mogła tę energię inaczej spożytkować i ten ponad rok życia byłby do zniesienia. Miała wrażenie, że go zmarnowała. Ale nie wiedziała teraz jak wycofać się z tego... z tego... z tego trendu.

Był też drugi powód sprzeciwu, zupełnie już nie do przeskoczenia. Powód, który ją znokautował, wgniótł w glebę.

Powód nazywał się Michael Krupnik, miał dziesięć lat i tak wystające przednie zęby, że paszcza mu się nigdy nie domykała. Grubiutki i z głupią fryzurą, jakiś taki nieżyciowy ze swoją pasją gier planszowych i komputerowych. Podobno dobry w tym. No ok, nie podobno, a na pewno. Nawet pisali kiedyś o nim w Kurierze Szczecińskim - jaki to mały

mistrzunio zasila nasze miasto swoim genialnym umysłem. Ten artykuł ze zdjęciem Michaela wisi w ramce w kuchni. W kuchni Lenki i taty!

Wisi i stanowi centrum mieszkania, obiekt dumnych spojrzeń mamy geniusza, czyli Asi.

Sam Michael jakby wcale się tym nie ekscytował.

- Eee, Lena, grasz? - pytał zawsze, choć ostatnio nawet nie wysilała się, by mu odpowiadać.

***

Kiedy do mieszkania wprowadza się obce dziecko, to pierwsze czuje się jakby straciło dom. Może nie zawsze tak jest, ale Lenka tak się poczuła.

Szczęście, że nie wtrynili jej Michaela do pokoju, musiałaby wtedy uciec na zawsze; biec i biec, zniknąć - co by było trudne przy tym całym lockdownie i zakazach.

Asię i jej syna znała już od kilku lat. Po prostu była to koleżanka taty – pani Asia. Nieraz wybierali się razem na bulwary czy na rozgrywki gier planszowych. Nawet przyszli dwa razy na jej koncert, bo przecież Lenka śpiewała w chórze. Nawiasem mówiąc, Michael może sobie nadal grać w gry, a Lenki chór nie ma już prób i występów. Z solistki i chórzystki stała się zwykłą jedenastoletnią dziewczynką. Śpiewać online – nie, to było w ogóle nie tak jak trzeba. Dzieci miały zajęcia przez komputer, ale ona wycofała się. W ogóle przestała śpiewać przez to całe małżeństwo taty. Odechciało się jej.

A Michael kosił kolejne trofea za rozgrywki w sieci. Czy to jest sprawiedliwe? Wszystko przez niego! Kochał planszówki, ale i komputer oraz zdalne nauczanie. Nic dziwnego –

chyba niezbyt miło doświadczyło go szkolne życie. Ucieszył się z nowego systemu. Paskudnik.

Że też od razu nie wyczuła zagrożenia, nie zorientowała się, na co się zanosi. Może można było zapobiec wydarzeniom?

Nawet rozmawiała z nim jeszcze wtedy, przed tym wszystkim; bawiła się, śmiała się, pamięta. Nie tknęło jej żadne przeczucie.

***

„Nie ma mnie, nie ma mnie" – szeptała do siebie, tuląc się do pnia grubej lipy na Alei Fontann. Lenka była chuda i wysoka, lipa była gruba i wysoka, więc doskonale nadawała się do ukrywania, chowania, maskowania takiej smukłej osoby.

A osoba tuli się do niej i myśli: "Takie wielkie drzewo, a tak mało przestrzeni na świecie potrzebuje. Tyle, co obwód pnia" – próbuje objąć lipę, ale wtedy wystają jej ręce, więc chowa je zaraz – „Drzewo potrzebuje tak mało, a człowiek tak dużo. Całe mieszkanie, dom i jeszcze się przemieszcza. A drzewo: metr na metr powierzchni świata. Nawet baobab – gigant jest w sumie skupiony na małej przestrzeni. Pod ziemią to już inna sprawa, ale i tak niewiele"... - oparła czoło o szarawą korę. Uniosła dłoń i wzięła między palce lepki, pachnący liść: delikatnie, pieszczotliwie. I zachciało jej się nagle płakać.

To właśnie wtedy pierwszy raz poczuła... jakby puls grubego, szorstkiego pnia i szept: „Krew... drzew"... Potrząsnęła głową i szept ucichł. Nie wystraszyła się wtedy, ani nic.

A Michael szedł sobie aleją; szedł tym kolebiącym się, kaczkowatym krokiem, z maseczką pod brodą i książkami pod pachą.

Lenka Lipińska nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Ale on z nią, owszem. W domu ignorowała go, na ulicy robiła wszystko, by się na niego nie natknąć.

Dwa rzędy lip służyły jej za kryjówki. Te grube i wielkie, bo małe młode lipki były jak patyczki.

Cieszyła się, kiedy udało jej się schować; gdy go zobaczyła pierwsza.

Czasem się nie udawało. Wtedy głupio się uśmiechał i machał bochenkowatą łapą, i rzucał:

- Czeeeść, Leeena.

Miała wtedy ochotę zerwać się do biegu. Ale to by wyglądało, jakby się go bała i uciekała. O nie, Lenka nie okaże słabości, za nic. Mijała go, odwracając głowę i nie chcąc, by w ogóle na nią patrzył. Ale on patrzył. Gapił się, a uśmiech znikał z jego twarzy. Tylko wystające zębiska wytrwale stały na warcie. Czasem ktoś pokazał na niego palcem i chichotał. Kiedyś duzi chłopcy popchnęli go na murek otaczający basen fontanny. Upadł. Masował sobie łokieć.

No i co z tego? Co ją obchodzi Michael Krupnik!

***

I właśnie na tej alei fontann (byłych fontann, bo od początku pandemii kafelkowane zbiorniki stały suche, potłuczone i brudne) – więc tam, wśród lip, to się wydarzyło.

2.

Tydzień przed Wniknięciem

*

- Tato, szkoda, że Delikatesy są już zamknięte. Poszlibyśmy coś kupić... albo chociaż popatrzeć. Tak sobie... - kółka walizki Lenki terkotały po nierównych płytkach alei. Księżyc świecił jasno, prawie biało. Szli sobie do domu, a do domu nigdy się jej teraz nie spieszyło.

- Leno, jest prawie północ. - tata wcale nie gniewał się na nią, gdy zadzwoniła, by po nią przyszedł, bo jednak nie da rady nocować u koleżanki. - Nasze Delikatesy nie są sklepem całodobowym...

- Tato, a może gdzieś jeszcze pójdziemy? - miło jej się szło, trochę jak dawniej, ona i tata.

- Dziecinko, w nocy...? - ziewnął szczerze i równocześnie z ziewnięciem odpadło kółko od walizki.

- Kiedyś zdarzało się, że spacerowaliśmy w nocy. Już zapomniałeś? Chciało nam się pochodzić w nocy, to chodziliśmy w nocy. Nie robiliśmy wszystkiego tak jak inni - tylko dlatego, że wypada lub nie. - Stanęła ucieszona, że trzeba poszukać kółka, które potoczyło się pod najgrubszą z lip. Może będą naprawiać walizkę? Zawsze to trochę opóźni powrót do domu.

- Córciu, jeśli chcesz, pospacerujemy w nocy. Ale wcześniej musimy to zaplanować. Jutro muszę wstać o szóstej, robię z Asią prezentację online, musimy się przygotować.

- włożył kółko do kieszeni i wziął walizkę do ręki.

- A ja chcę teraz! - krzyknęła, aż echo przemknęło wzdłuż alei.

- Ale Leno... Nie planowałem akurat...

- Jeśli nie teraz, to wcale! Ja idę! - wybuchnęła, odwróciła się i pomaszerowała w odwrotnym kierunku. Nie obejrzała się. Była już daleko, przy samym pomniku Marynarza, którego gigantyczna sylwetka wydawała się w ciemności jeszcze większa i posępniejsza.

Przytuliła się do najgrubszej lipy. Mocno, opierając twarz o pień. I tak stała, urażona i nieszczęśliwa.

I wtedy je zobaczyła.

Pierwsze dziecko.

A raczej samą świetlistą, patykowatą sylwetkę wyłaniającą się zza lipy. Twarz bez rysów. A jednak wiedziało się, że to dziecko. Wychyliło się, obejmując pień. Trwało to sekundę, może mniej.

Mogła przysiąc, że widziała.

Tak, na pewno widziała.

Było małe, może pięcioletnie. Szczupłe. Promieniowało srebrno-zieloną poświatą.

Wyjrzało zza drzewa i schowało się. Mignęło ledwie.

Zamarła z przerażenia. Odskoczyła.

Zrobiła krok do tyłu, powoli odwróciła się, sprawdzając, czy w drugim końcu alei zauważy tatę. Dwieście metrów.

I wtedy zobaczyła kolejne.

I jeszcze jedno.

Świetliste postacie migały, spoglądając na nią zza lip. Nawet za cienkimi, młodymi lipkami były te dzieci. Zmniejszone, stosownie do swojego drzewa. Widziała je. Nie mogła skupić wzroku na żadnym, bo zaraz się chowało. A jej uwagę przykuwało następne. Nawet te z tyłu.

A dookoła ani jednego człowieka.

Zakryła sobie twarz maseczką. Nasunęła na czoło czapkę z daszkiem.

I wtedy tuż obok jej głowy, wychynęło zza lipy największe dziecko (było tak duże jak ona) i szepnęło w pobliżu jej ucha:

- „Krew drzew!”,

a pozostałe zawtórowały jej:

- „Gniew drzew!”
- „Śpiew drzew!”

Tym samym, ledwie słyszalnym, jak tchnienie wiatru w ciemności, szeptem.

- Tatooooo!!! - wrzasnęła, nie panując już nad sobą i rzuciła się biegiem w stronę podążającego ku niej, lekko przekrzywionego pod ciężarem walizki, taty.

- Już, córuś, już! - wydyszał, wypuszczając walizkę, gdy przycisnęła się do niego mocno, najmocniej. Cała się trzęsła. - Nic się nie stało, możemy pospacerować, już, już...

- Ćśśśśś...! - spojrzała mu w twarz wielkimi z przestrachu oczami – Cicho, tatusiu... Słyszysz je?

- Kogo?

- One tam są... Jest ich dużo... - szeptała bezładnie – Tyle, ile lip. Czyli ponad sześćdziesiąt osób...

- Gdzie, kto? - rozglądał się, przytulając córkę – Nikogo tu nie ma... Usiądziemy na chwilę...?

Wreszcie udało się jej złapać głębszy oddech pod maseczką. Spojrzała w głąb ciemnej alei.

Nikogo.

- Nie, tatusiu... Chodźmy już...
- Na pewno?
- Tak... Tak.

***

Następny dzień spędziła w swoim pokoju. Udawała, że robi projekt na lekcję polskiego, a tak naprawdę wciąż konfrontowała to, co zdarzyło się w nocy z własną logiką i wiedzą o świecie. Nawet nieodzowny „wujek Google" zaoferował jej na monitorze ledwie kilka lekkich bajeczek o ludziach zaklętych w drzewa. Czyli, że ta scena

z cieniami świetlistych dzieci była niemożliwa. No, może tylko w Halloween.

Był czerwiec.

To niby co ona widziała i słyszała minionej nocy? Co?

Jakieś propozycje?

3.
Wniknięcie

*

Obiecała sobie, że już nie będzie chowała się za lipami.

Minął dzień, drugi, a trzeciego - zbuntowała się przeciwko narzuconemu sobie kolejnemu lockdownowi. Lipowemu. Drzewnemu.

„Co?!" - pomyślała buntowniczo Lenka, sznurując nowiutkie turkusowe adidasy – „Nigdy! To mój teren i będę sobie chodziła po placu i po alei, ile zechcę! Ja tu mieszkam. Ja chcę tu się swobodnie poruszać. Znam te lipy jak nikt. Mogę je dotykać i z nimi rozmawiać. Żadne anemiczne cienie mi nie zabronią!"

Nowe buty oczywiście też miały pewien wpływ na chęć wyjścia z domu.

Lenka założyła za uszy gumki maseczki i krzyknęła:

- Tatooo! Wychodzę na plaaac!

- Dobrze! Tylko bądź za godzinkę.

- Jasne!

- Kupisz jeszcze może po drodze kilka pomarańczy, Lenuś? Mogłabyś? - Asia złożyła ręce i uformowała usta w dzióbek.

- O jeny... - zamarudziła dziewczynka z przyzwyczajenia, ale ucieszyła się z zadania, bo dla tak czynnej osoby przebywanie w mieszkaniu było torturą.

Hmmmm.... Wtedy jeszcze nie wiedziała, że bywają o wiele dotkliwsze męki.

- I szczypiorek! I mąkę! Kilo mąki... - rzucił tata, przesyłając jej całusa.

- Okej. Biorę kasę z pudełka – sięgnęła do plastikowego pojemniczka, stojącego na szafce tuż przy drzwiach. Poprawiła szelki dżinsowego plecaka.

- Mooogę z tooobą? - zaszurał kapciami Michael, jakiś smętny i jednocześnie podenerwowany od tych kilku dni.

- Żart? - uniosła brwi, odgarnęła włosy i już jej nie było.

Zamykając drzwi usłyszała jednak trzy głębokie, pełne żalu, westchnięcia.

W sumie – co by jej szkodziło...? Zawsze to jakieś towarzystwo. Ostatnio nie bardzo miała chęć na spotkania z koleżankami. Oddaliła się od nich. Nie zrozumiałyby jej. Lence nie było jednak dobrze tak samej i samej, samej z sobą. A Michael jakby ją czasem... podziwiał? Nie jest źle przebywać z kimś, kto patrzy w człowieka jak w obrazek, nie kłóci się, nie wrzeszczy, grzecznie pyta. Mogła gorzej trafić. Czyli – może wrócić po niego?

Ale zaraz odpędziła tę myśl.

Co za frajda chodzić z tym flegmatycznym dziwakiem . Niby że co – że jak siostrzyczka i braciszek, tak?

Chcielibyście.

***

Chodziła po alei fontann. Tam i z powrotem. Od placu Grunwaldzkiego do placu Lotników. I jeszcze raz. Nic szczególnego się nie działo. Ludzie dyskretnie lizali lody, pospiesznie wysuwając języki spod maseczek. Niemal wszystkie baraki gastronomiczne były nieczynne; tylko Avocado wyszło cało z kryzysu, oferując – niezbędne wszystkim - pieczywo. A niby dodatkowo – lody i ciasta.

Rodzinki przechadzały się po alei, siorbiąc kawy i ciastka na wynos.

Zero cieni straszących zza drzew, zero szeptów, zero wspomnianej krwi drzew. Fakt, że teraz chodziła za dnia, a tamto wydarzyło się w nocy.

- A może wcale się nie wydarzyło? - powiedziała do siebie, pogardliwie wykrzywiając usta. - Po prostu mam za dużo stresów. A wtedy można mieć różne wizualizacje i niewyśnione sny.

Poszła do Delikatesów po mąkę, pomarańcze i szczypiorek. Skrzywiła się. Ta mąka i pomarańcze solidnie obciążały plecak.

„Jestem taka biedna...” - użaliła się nad sobą: „Muszę dźwigać zakupy dla całej rodzi- To znaczy... dla tych lokatorów mojego mieszkania. I dla taty. Ale dla taty mogę podźwigać.” - uznała.

Wróciła na aleję.

„Od szczypiorku będzie mi śmierdziało w plecaku” – pomyślała i nagle go ujrzała. Nie, nie plecak, nie szczypiorek.

Michael Krupnik, niezrażony i zagapiony, człapał w jej kierunku.

Zauważył czy nie zauważył?

Wściekła Lenka przylgnęła odruchowo do lipy, tej jedenastej w lewym rzędzie, licząc od placu Lotników.

Michael z głupim uśmieszkiem zbliżał się nieuchronnie, więc ona, z rękami wzdłuż ciała cała niemal wrosła w pień, zastanawiając się, czy jednak wystaje ten zwisający ciężko, nieforemny plecak.

Przylgnęła jakby była częścią drzewa. Calutkim ciałem. Twarzą.

„Szkoda, że nie mogę teraz zniknąć” – pomyślała.

I wtedy...

Zabrakło jej tchu. Chciała wyszarpnąć maseczkę, wciągnąć do płuc dużo powietrza, ale nie mogła ruszyć ręką. Czołem dotykała kory; zaczęła szorować o nią maseczką, sapiąc i pocąc się.

Jakby się przykleiła.

Zakręciło jej się w głowie, usłyszała przenikliwy, wręcz nieznośny teraz szept: ”Krew drzew!” i coś pchnęło ją do środka pnia. A potem błyskawicznie... jakby zjechała windą

na sam dół.

Dół czego?

Dół miasta?

- Tatooo! - jęknęła, ale tym razem nie było w pobliżu jej jedynego obrońcy.

***

„ System...

System korzeniowy – służy do zakotwiczenia rośliny w podłożu. Pozwala to na zachowanie pionowej postawy drzewa. Korzenie pobierają i magazynują substancje odżywcze... Oraz... oraz... oraz wodę...” - w głowie Lenki kołatała definicja z podręcznika do przyrody. Uparcie odtwarzała się, podczas gdy sama Lenka leżała z zamkniętymi oczami, wciśnięta między jakieś metalowe i plastikowe rury, przeplecione z korzeniami drzew.

Czuła lekkie powiewy, zrozumiała, że ktoś przechodzi obok, porusza się blisko niej. „Trzeba otworzyć choć jedno oko” – pomyślała, ale przecież nie miała siły.

Jakby wszystkie przeżycia minionego roku nagle spłynęły na nią i przygwoździły w niewygodnej pozycji. Nie czuła jednak smutku, ani strachu. Była przeokropnie zmęczona.

No dobra. Nie ma co się roztkliwiać. Powieki w górę.

Tak.

One.

Świetliste, srebrno-zielone dzieci.

Przemykały, zręcznie ją omijając. Lawirowały między rurami, i znikały... w korzeniach. Pojawiały się niespodziewanie z innych stron, wychodziły z korzeni. Przenosiły coś w chudziutkich rękach. Wydawały się bardzo zajęte.

***

Lenka Lipińska siedziała zgięta wpół, wydobywając plecak, ciasno zakleszczony pomiędzy jej plecami, a grubą granatową rurą z grubego plastiku.

Jest.

Pachnie pomarańczami i śmierdzi szczypiorkiem, które stanowiły zawartość plecaka. Chciało jej się pić. Zastanowiła się, czy nie obrać jednej pomarańczy i nie wbić zębów w soczysty zapewne miąższ. Może jednak zostawić na potem? Zawsze jest jakieś „potem".

Zerknęła na ekran smartfona. Jasne. Brak zasięgu. Prychnęła z rezygnacją.

Wtedy opromieniła ją łuna światła. Uniosła głowę i aż krzyknęła ze strachu.

Dzieci otaczały ją zwartym kręgiem. Nie stały, nie siedziały. Lewitowały, przenikały przez przeszkody.

- Nie! - wrzasnęła i chciała się cofnąć, ale nie było jak.

Musi uciekać. Musi spróbować znaleźć właściwą odnogę tunelu i wydostać się spod

ziemi. Gdzieś jest wyjście. Dochodziło tu powietrze. Niewiele, ale wystarczająco, by żyć. Żyła. Nawet tutaj da się żyć. Dziwne.

Bo już wiedziała – była pod miastem, pod Szczecinem.

Widziała drugą stronę drzew, drugą stronę miasta. System korzeniowy. Plątaninę rur. Żółtawy piach, kapiące krople wody, betonowe bryły, wijące się cienkie strumyczki jakiejś cieczy. Nie było ciemno, od dzieci bił równomierny blask. Pod spodem. Nigdy nie myślała o tym, że w ogóle jest jakiekolwiek Pod Spodem.

Owszem, nieraz zauważała wystające spod ziemi rury, którymi doprowadzano powietrze lub wodę do korzeni młodych lipek w upalne dni. Te grubsze rury, żółte – powietrze. Cienkie i ciemne – woda. Pamiętała.

- Przestań! - wzdrygnęła się, gdy świetlista dziewczynka musnęła jej twarz dłonią jak zielona, palczasta mgła – Czego chcecie?! Co ja wam zrobiłam? Do you speak english?

Druga dziewczynka, tak wysoka jak Lenka, wysunęła się przed wszystkich.

- Sssama do nassss przyszłaś. Należysz zatem do nas.

- Nie! - Lenka odwróciła się niezdarnie w stronę dziewczynki. - Nie widzisz, że nie? Nie mam tych... zdolności. Jest mi ciasno. Nie świecę.

- Nabędziesz właściwośśści, które umożliwią ci egzystencję tutaj. Spójrz – wskazała wiotką ręką tuż obok i wtedy Lenka zauważyła, że to wcale nie jest tunel i tylko tunel. Obok widniały całkiem obszerne komnaty... jakby jaskinie. Ale z piaskiem w ścianach. Tam dało się nawet swobodnie stać. Nieopodal przemknęły dwa szczury. Nie wzdrygnęła się. Lubiła zwierzęta.

Zaraz... co ona powiedziała, ta podziemna dziewczynka...? Egzystencja???

- Nie interesuje mnie: egzystencja! Chcę żyć pełnią życia. Na powierzchni, a nie tu, w jakiejś... kopalni. - przeniosła się na czworakach do komnaty i wstała.

Wśród ulotnych dzieci rozległ się dźwięk podobny do... śmiechu. Stłumionego, pulsującego śmiechu.

- Przecież twoje życie jessst taaakie sssmutne... - zabrzmiało obok jej ucha. Wystraszona, odwróciła się, zachwiała. Nie wypuściła jednak plecaka, chociaż bardzo bolało ją ramię.

- Tam jessst ci źle. - usłyszała z drugiej strony i z wielu innych kierunków. Znalazła się w centrum odgłosów, jakby w studiu, w którym kiedyś nagrywała płytę wraz z chórem.

- Tam ciągle płaczeszszsz.

- Nie możesz spokojnie ssspać.

- Jesteś rozżalona i zdenerwowana. Bez przerwy.

- Uciekasz i uciekasz. Powiedziałaś „Zniknąć". Chcesz zniknąć.

- Już! Stop. - ukryła twarz w dłoniach. Opuściła obciążone plecakiem ramię. Ześlizgnął się ciężko na kamienne podłoże i plasnął.

Jak dziwne by nie były te dzieci, jak niestworzone ich zachowanie, musiała przyznać.

Miały rację.

Tam było jej źle.

Rozpłakała się cicho.

***

- Zossstaniesz z nami. Będziesz miała określoną funkcję. Jesteśmy podzieleni. Każda grupa ma ssswoje zadanie i nazwę. Zobaczymy, do której należysz. Ale chyba do naszej... Inaczej nie wniknęłabyś w drzewo właśnie tutaj... - wysyczała wysoka dziewczynka, a Lenka cofnęła się, co było trudne w tej pozycji - na czworakach.

- Nie. Wracam do taty. – wypaliła gwałtownie.

- Zossstaniesz, zostaniesz. Tu ci będzie dobrze. My: Krew Drzew. Tak się nazywamy. Dostarczamy drzewom ssskładniki odżywcze. Tu, w centrum miasssta, nie ma ich wiele. Niemal nic. Nikt o nie nie dba. O młode jeszcze czasssami tak. Ale te najssstarsze...Gdyby nie nasza interwencja, nie byłoby lip. Ich korzenie już nie mają miejssca. Wszyssstko wyczerpane. Dookoła beton.

- To dlatego tak marnieją... - przyznała Lenka. Uspokoiła się. Dotknęła twardego splotu korzeni wybrzuszającego najbliższą ścianę – Ile te drzewa mają lat? Te najstarsze?

- Najssstarsze...? Najstarsze lipy z alei wciąż są młode – roześmiało się kolejne dziecko, i następne - Posssadzono je w 1954 roku.

- To będzie... - Lenka nie była mocna z matematyki. - Zaraz... Mamy 2021 rok, czyli od tego trzeba odjąć 1954...

- Sześćdziesiąt siedem lat - wyręczyła ją malutka, szybka, świetlista dziewczynka, której wcześniej nie zauważyła. Oj, zabolało, bo dziewczynka przeniknęła przez nią.

- Nie rób tego – zaprotestowała Lenka, odruchowo usiłując odepchnąć małą. Ale czy można odepchnąć mgłę? - Co??? Sześćdziesiąt siedem? To mało? Tak długo mogą żyć?

- Lipa może żyć nawet tysiąc lat, jeśli coś złego jej się w międzyczasie nie przytrafi. .- syknął głośno srebrny chłopiec, który trzymał się z dala od Lenki. - I wszystko pamięta. Wszystko, całe tysiąc lat.

- Tysiąc lat... - wydyszała, ale nie zdążyła połapać myśli, bo mała kontynuowała.

- Tutaj, sześćdziesiąt siedem lat temu była Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa. Pamiętam, jak sadzili te lipy. Wszystko ręcznie. Nie to, co teraz. Chłopy w spodniach na szelkach.

- Co??? Jak to: pamiętasz? - próbowała odsunąć się od tej natrętnej, małej zjawy.

- Byłam przy tym.

- Ja też byłam.

- I ja byłem, i on. - uświadomiono ją ze wszystkich stron.

- Jesteście aż tak starzy?

- Niektórzy. Inni dochodzili później, nawet niedawno. Jak ty.

- Ci, którzy już nie mogli wytrzymać na powierzchni. Którzy kochali drzewa. I byli dziećmi. I chcieli uciec. Albo spotkało ich tam coś złego. Ale to nie był jedyny warunek wniknięcia...

- Czyli... Co jeszcze trzeba zrobić, by... tu wejść... wniknąć...? - Lenka usiłowała zrozumieć, dlaczego właśnie jej to się przytrafiło. Splot okoliczności. Warunki. - Ile musi być tych... warunków...

- Zjednoczyć się z drzewem! - huknął duży chłopak, aż podskoczyła i potknęła się o plecak – Tulić, trwać i trwać. Nogi, tułów, twarz.

- Zrobiłam to... - szepnęła.

- I najważniejsze... Deklaracja zniknięcia. - usłyszała. Nawet nie spojrzała, kto mówi. Dzieci roiły się wokół niej.

- Deklaracja... czyli co?

- Publiczna wypowiedź w jakiejś sprawie. Chęć, oświadczenie czegoś. To trzeci warunek.

„Tak...” - pomyślała Lenka. - „Tak, zrobiłam to... I co teraz?”

- Chodź... - dzieci owiewały ją jak wilgotny wiatr – Chodź z nami...

Narzuciła plecak na ramiona.

- Aha, czyli nie dość, że te wszystkie dzieci, to znaczy... ci niepełnoletni ludzie cierpieli, to jeszcze zostali ukarani zsyłką piętro niżej! - rozzłościła się nagle. - Nie wiem, jak wy, ale ja się stąd zabieram. Tam nie spotkało mnie przecież nic złego. Tam było mi... fajnie! Fajnie! Przefajnie, o ile znacie takie słowo. Tam jest wspaniale! - tak, w tej chwili w to pojęła. - Chociaż... może gdyby wszyscy opuścili to miejsce, lipy nie przeżyłyby – odkryła nagle, spostrzegając, że końce jej palców... już... jakby... lekko świecą. .

- Ty: Krew Drzew. O, tak, już stajesz się jedną z nas. Grupa. My.

- A jakie jeszcze są... te... grupy? - ruszyła przed siebie, rozgarniając jarzące się sylwetki, albo wręcz przechodząc przez nie.

- Gniew Drzew – padła natychmiastowa odpowiedź, i coś znów musnęło włosy Lenki. - Obrońcy. Kiedy już nie ma wyjścia, drzewa potrafią się gniewać. Wypadki. Dziwne wypadki.

- Śpiew Drzew – rozległo się i malutka zjawa znowu przeszła przez Lenkę. Tym razem prawie nie bolało. - Szum i szelest, skrzypienie. To oni.

- W artystycznych lepiej się sprawdzam – burknęła Lenka i oblizała suche wargi. - Ale chyba nie wystarczy mi takie życie... Nie będę dzieckiem drzew. Mogę pomagać, tam, na powierzchni. A przynajmniej nie przeszkadzać naturze. Chyba, że... - zawahała się na wspomnienie swojej małości i słabości wobec wielkich potrzeb wielkich drzew...

- Chyba chceszszsz pomóc swoim lipom. Będziesz je równomiernie nawadniać. Tutaj, prosto przez korzenie. Będziesz je chronić przed szkodnikami. Reperować. Uzupełniać ubytki. Opatrywać urazy. Kochaszszsz je. A czy ciebie ktoś tam kocha?

- A żebyście wiedzieli! I to nie jedna osoba! - stwierdziła i od razu zrobiło jej się głupio.

- Chyba nie myślisz, że stąd można tak po prostu sobie odejść - największa dziewczynka kołysała się przed nią i Lenka nie mogła dalej iść. Jakby wiał w nią wiatr o gigantycznej mocy.

***

Naparła z całych sił i przedostała się przez dziewczynkę. Zabolała ją skóra twarzy, a maseczkę zgubiła. Nie miała zapasowej. Kto by przypuszczał, że przyda się w zupełnie innych okolicznościach, niż te zaplanowane.

- Sssstój! - wokół niej zaroiło się od świecących jak ledowe taśmy zjaw. Przenikały przez nią, a ją coraz bardziej bolało. „Jakby przepuszczano przez moje ciało prąd o lekkim napięciu…" - pomyślała, ale pokonywała kolejne komnaty. Z każdym krokiem było coraz trudniej. Plecak ciążył.

- Blokada!!! Sssstop… - zasyczała chórem cała grupa Krew Drzew – i już mieli swoim wspólnym, piekącym oddechem uniemożliwić jej dalsze przemieszczanie się, gdy…

Lenka zarzuciła z rozmachem na ramię opadający plecak, ale zrobiła to zbyt energicznie. Ciężki plecak przeważył, zatoczył łuk w powietrzu i łupnął o gliniastą ścianę, pełną ostrych, chropowatych, wystających korzeni. Usłyszała dźwięk rozdzierającego się materiału i wtedy…

- Nieee… To ssstraszne! - jęczały świetliste dzieci, gdy spadała na nie biała mgła… mąki.

Papierowy worek dosłownie eksplodował od uderzenia i i wszystko spowił szalony mączny obłok. Smartfon gruchnął o coś twardego, słyszała to. Pomarańcze potoczyły się po kamiennym podłożu, opakowany w folię szczypiorek leżał tuż pod nogami Lenki jak mały zielony miecz. Odruchowo go podniosła, a drugą ręką przetarła oczy.

- Źle, źleee… - dyszały dzieci, gdy oblepiały je białe opary. Drobinki mąki łączyły się ich zwiewnymi ciałami. To je obciążało. Sklejały się, traciły kształt, padały z plaśnięciami. Wyglądały jak srebrno-zielone slimy.

Lenka powinna uciekać, korzystać z niespodziewanej okazji, ale nie mogła oprzeć się pokusie przykucnięcia nad nieruchomą papką, w którą zamieniły się dzieci drzew...

- Przepraszam... Ale straszne z was... gluty – szepnęła, nie ośmielając się dotknąć lepkiej mazi. Jeszcze się jarzyła ostatkiem światła, ale za chwilę zrobi się tu naprawdę ciemno.

Tuman mącznej chmury opadł. Strzepała z włosów resztki białego pyłu, spojrzała z żalem na roztrzaskany smartfon, na podarty plecak. Rzuciła szczypiorek, schyliła się po jedną pomarańczę, a po chwili wahania, po drugą. Włożyła je sobie w bluzkę, zaśmiała się. Ruszyła dalej, obierając niezręcznie owoc. Robiło się coraz ciemniej, właściwie zupełnie ciemno, a ona nie wiedziała, w którą stronę iść. Ale jakie to teraz miało znaczenie. Była tak spragniona i głodna, a pomarańcza była chyba najlepszą spośród wszystkich na świecie. Wbiła zęby w cudowny, pyszny miąższ i nagle zatrzymała się.

- Dzieci drzew... Co ja zrobiłam... Zniszczyłam dzieci drzew. Moje lipy nie poradzą sobie same... Ale... to była obrona konieczna. Chyba... - westchnęła i wessała w siebie pomarańczowy sok. Wtedy usłyszała coś jakby musowanie bąbelków gazowanej wody. I bez odwracania głowy, ujrzała czerwoną łunę.

- Gniew drzew! - wyskandowano z oddali, a nogi Lenki same przyspieszyły. Skórka pomarańczy pacnęła o podłoże, a dziewczynka gnała opętańczo, niemal po omacku, z rękami wyciągniętymi przed siebie.

***

Gniew drzew.

Ta grupa nie uznawała żartów i dyskusji. Wolała czyny. Miała cel: dopaść tę istotę, która targnęła się na ich świat. Skandowali razem tylko dwa słowa: „Gniew drzew!", ale to wystarczyło.

Lenka nie miała wątpliwości.

Jeszcze były daleko, ale komnaty zamieniały się w korytarze, korytarze w tunele, coraz węższe i ciemniejsze, niemal czarne. Tylko ten czerwony poblask z tyłu.

- Auuu! - wrzasnęła, gdy trafiła dłonią o coś ostrego. Niewątpliwie się skaleczyła. Przycisnęła ranę do ust, poczuła krew. Wyrzuciła z bluzki mniejszą pomarańczę, uderzyła głową o drewniany strop z korzeni. Krzyknęła. Padła na kolana i na czworakach, nieustępliwie przesuwała się do przodu, dopóki było gdzie. Nie chciała nawet myśleć, co będzie, gdy tunele przestaną się rozgałęziać i zatrzyma się przed ścianą...

„Tato... Tato.. Tato..." - powtarzała jak w transie. Ta jedna osoba, ten jeden ratunek.

- Och! - jęknęła, gdy jedno rozjarzone czerwienią dziecko musnęło jej stopę. Zakłuło. Przyspieszyła, choć było to absurdalne, jak uciekanie przed chmurą albo dymem.

„Szkoda, że nie mam więcej mąki. Może też podziałałaby..." – pomyślała – „Trzeba było kupić dwa kilo. Ale... co z lipami śródmieścia? Czy mogą istnieć bez tych... pomocników? Pewnie uschną, zginą albo wręcz znikną...".

Brakowało jej siły i powietrza.

I było tak ciasno. Co chwilę ocierała się o wystające, twarde, zdrewniałe wypustki korzeni. Była cała podrapana, ale prawie nie czuła bólu.

I co będzie, kiedy już wyjdzie? A co – kiedy nigdy się nie wydostanie? Pewnie istnieją jakieś trzy warunki do spełnienia, by wyjść tą samą drogą, którą tu dotarła. Ale kto by zgadł, co należy zrobić, powiedzieć? Zapłakała gwałtownie.

***

Lenka nie przyzna się.

Lenka nikomu nie może o tym powiedzieć.

I tak nie uwierzą.

Niepokój każe jej przeciskać się przez wąski tunel.

Powoli posuwa się, wśród ułożonych symetrycznie rur, szorując adidasami o piach i beton. Zdarła czubki sportowych butów, które jeszcze rano były nowe, intensywnie turkusowe, a teraz są ledwie szarawe. I można zapomnieć o białych podeszwach.

Lenka brnie przed siebie jak kret. Jej długie włosy przyklejają się do spoconej twarzy i łez.

Duszno.

Dziewczynka chce być jak najdalej od tych korzeni i ścigających ją małych, ruchomych, świetlistych cieni. Posępnych i złowieszczych. Trzeszczących jak zimny ogień. Czerwona poświata zaraz ją dosięgnie.

***

To koniec. Czuła to. Już nie ma sił. Osacza ją Gniew Drzew. Ale to tak naprawdę wcale

nie jest gniew drzew. Drzewa być może nie mają z tym niczego wspólnego.

- Zostaw! Puść! - wydusiła, leżąc i słuchając dziwnego dudnienia nad głową.

Dookoła, zwartą ognistą chmurą, otaczały ją dzieci drzew. Tunel przeistoczył się w komnatę, tym razem całkowicie betonową, o nierównych, chropowatych ścianach. Dzieci były lodowate, wionęło od nich wilgocią i napięciem. Znowu zadudniło. Znajomy odgłos.

Tak! Teraz zrozumiała. To tramwaje. Czyli... być może jest pod Placem Grunwaldzkim. Albo zupełnie gdzie indziej. Do placu było niedaleko, a ona długo kluczyła. Ale to na pewno tramwaje. Czyli nie jest zbyt głęboko.

I co z tego...?

Otaczały ją zwartym kręgiem, wyciągały ręce. Ich milczenie było gorsze od paplaniny tych pierwszych, srebrzysto-zielonych. Już dotykały jej włosów. Już ją miały.

- Co ja wam zrobiłam? - spróbowała w miarę rozsądnej argumentacji, nie podnosząc na nie wzroku. – Wy pomagacie drzewom, ja je kocham. Mamy te same intencje.

Cisza.

- Do you speak english? - wysunęła swój ostatni oręż, bardziej po to, by opóźnić, co nieuniknione.

Poczuła, że się unosi. Jak na chmurze, ale nie tak stabilnie. Przekładały ją sobie, z rąk do rąk, a każde trącenie kłuło.

„Przepraszam, tatusiu...” - pomyślała i...

Łups!

Grzmotnęła o grunt. Upuściły ją; chyba na skutek przeraźliwego zgrzytu, i strumienia jasności, który nagle przeciął purpurowy mrok.

- Łaaa! - dotknęła pleców i z bólu nie mogła nabrać powietrza. Ale... widziała to... wyraźnie. Jak gdyby zwiększyła kontrast na ekranie. U góry otwierał się metalowy właz. Zmrużyła oczy. Gniew Drzew poruszał się chaotycznie, coraz szybciej, ale chwilowo nie zwracała uwagi na te, dość straszne, dzieci. Całą jej świadomość pochłaniała sylwetka człowieka stojącego w jasnym prostokątnym wylocie. Stał pod światło, nie widziała jego rysów. Ale już wiedziała. Tego człowieka nie da się pomylić z nikim innym.

Michael Krupnik.

4.
Ratunek

*

Niezgrabnie podreptał, pochylony, w jej stronę.

Zanim choćby pomyślała, już wyciągnęła ku niemu rękę. Czerwone zjawy wsysały ją, ale krótka, gruba ręka chłopca miała mocny chwyt.

Gniew Drzew wyraźnie unikał snopu jasności, który wyznaczał im teraz drogę.

- Proszę się rozejść – flegmatyczny ton głosu Michaela został zasilony strumieniem światła z latarki, którą trzymał w drugiej dłoni. Jarzące się postacie wiły się i usiłowały ominąć rozbłyski i lśnienia, a równocześnie chciały zatrzymać Lenkę.

- Proszę się wycofać - przypomniał im chłopiec, traktując wiązką światła te, które przyfrunęły najbliżej, aż parzyło w stopy i plecy.

Dziewczynka ocierała łzy, kapiące zupełnie wbrew jej woli. Niepewnie, krótko, zerknęła na niego.

Ujrzała wystające zęby i w tej chwili był to najpiękniejszy zgryz, jaki widziała w całym swoim życiu.

- Światło. - przypomniał spokojnie Michael, wetknął w jej dłoń drugą latarkę o silnym, zimnym ledowym paśmie i razem truchtali w stronę włazu.

- Nie znoszą światła – zorientowała się Lenka. - Skąd wiedziałeś?!

- Grałem kiedyś w podobną grę, Lena, wieeesz?

- Grę???

***

Przeciskali się przez otwór, najpierw Lena, potem Michael.

Zakryła dłonią oczy. Dawno nie przebywała w świetle dziennym.

- Psi kącik – uśmiał się chłopak i wtedy poznała – byli w samym środku niewielkiego prostokąta piasku... na placu Grunwaldzkim... Tego, bliżej pomnika Marynarza. Drugi znajdował się z przeciwnej strony. To były niemal parodie wybiegów dla psów, malutkie, metr na półtora, z wbitym kamieniem, przy którym psy miały – według pomysłodawcy, podnosić nogę w wiadomym celu.

- Jak to... Przecież tak długo szłam... A jestem blisko, bardzo blisko alei... - równocześnie skierowali głowy i wzrok na szpaler lip. Tak znajomych, a tak nieznanych.

Co teraz z nimi będzie? Czy utworzy się nowa grupa Krew Drzew? Czy poprzednia jednak się zregeneruje? Czy jest ich więcej w mieście... Pod miastem?

Pod światem?

- Identycznie było w tej grze. Dzieci Drzew. Tak się nazywa. - wyjaśnił, ale nie rozumiała. - Tam były takie dzieci i dziewczynka, inna niż one. Z osobnego świata. One czyniły dobro, ona czyniła dobro, ale razem nie było to możliwe. One były dla niej groźne. Wołała o ratunek. Wciąż włączała mi się ta gra, chociaż wcale się nie logowałem.

- Tam byłam ja...? - siedzieli na piasku, brudni i zmęczeni. Lenka zwiesiła głowę, wpatrując się w świecącą wciąż latarkę.

- Zorientowałem się dopiero teraz. Tuż przed tym, kiedy spełniłaś warunki.

- Ciało do drzewa. Poczucie krzywdy. I wola zniknięcia – wyszeptała.

- Nie chciałem, żebyś tak się czuła. - spojrzał w bok, gdzieś między wmurowane w trawę stoliki do gry w szachy.

- Ty nie chciałeś...! Ale tak się składa, że to przez ciebie. To stało się przez ciebie.

- Nie... - bronił się, otwierając buzię. Tym razem jego zgryz wydał się jej irytującym widokiem.

Zerwała się na równe nogi i poczuła złość.

- Nawet tam, do tamtego świata korzeni drzew musiałeś za mną przyleźć?! Geniuszu komputerowy, cholerny ty! - popchnęła go, a biedny fajtłapa padł na plecy. Co za niezdara, ciepła klucha, fujara.

- Ty to geniuszka. - uniósł głowę i usiadł. Znów go przewróciła.

- I co jeszcze?! - przytrzymała go w tej pozycji – Coś jeszcze mi powiesz? Nie wyzywaj od geniuszy.

- Niestety, tak o tobie myślę w skrytości ducha. - wyznał, wierzgając kończynami.

Jesteś dla mnie geniuszką, umiesz śpiewać i w ogóle... jesteś taka samodzielna.

- Co niby możesz o tym wiedzieć, ty geniuszu, zdobywco trofeów?! - zaczęli okładać się i obsypywać piaskiem.

- Ja wiem. - Michaelowi ciekł pot po okrągłej twarzy. Mimo wszystko wciąż usiłował zachować spokój. Nic, poza obroną konieczną. - Ja... ja... oglądałem wszystkie twoje występy w komputerze taty.

- Jakim prawem tak mówisz: to jest mój tata! Nie jest on twoim tatą, ustalmy to raz na zawsze! Jakim prawem oglądałeś moje występy?! - teraz on przewalił ją na piach. Klucha nie była taka słaba.

- Tat... On... On mi pozwolił, gdy poprosiłem. Poza tym występy chóru są w sieci. Każdy może sobie je oglądać i słuchać. Po to tam są.

- Jako :”on”?! Tak się nie mówi o dorosłym człowieku, z którym się w dodatku mieszka!

- Ty jesteś solistka, ty jesteś wybitna, cudowne dziecko. - tłumaczył, a ona szarpała

rytmicznie za bluzkę, aż naddarł się rękaw.

- Już nie, już nie! Nie jestem już cudownym dzieckiem! Nie jestem... Już nie ma chóru, występów nie ma, nie ma... - i nagle, puściła go i rozpłakała się głośno. Znowu. Ten płacz siedział w niej od ponad roku, było go bardzo dużo, cały ocean. Nie mogła złapać powietrza, ani przestać, a Michael kontynuował swoim flegmatycznym tonem:

- No nie denerwuj się, Leeena... Nnno nie można przestać być solistką. No...

- Przestań i schowaj te zęby! – zachlipała.

- Co ja na to poradzę, zgubiłem maseczkę. Mam taką minę; wiem, jak to wygląda, ale co niby miałbym z tym w tej chwili zrobić? - zapytał bezradnie – Mama mówi, że gdy już urośnie mi głowa i szczęka, to będę nosił aparat. Może nawet zrobią mi operację....

I wtedy płacz skończył się równie nagle, jak się zaczął, a Lenka poczuła wstyd. Przypomniała sobie, gdy pani od chóru – jej jedyny niepodważalny autorytet, poza tatą: pani - powtarzała: „Nie wolno kpić z człowieka z powodu jego wyglądu, choroby i nazwiska. To największa podłość".

Tak.

Chodziła na zajęcia chóru przez pięć lat. Minął rok i o wszystkim zapomniała. Jak łatwo. Zbyt łatwo. W chórze nie chodziło tylko o śpiew. Pani chciała, by byli porządnymi ludźmi.

A ona, Lenka, od razu zapomniała.

Michael Krupnik.

Nie dokuczał jej, nie robił krzywdy, nawet – jak przypuszczała – podziwiał ją. Wkroczył w jej życie wbrew jej woli, ale czy to była jego wina?

Od razu zauważyła jego słabe punkty i od razu w nie uderzyła.

Wygląd, stan zdrowia, nazwisko.

Choć tu nie wiadomo, czy bardziej chodzi o nazwisko, czy może o imię. Raczej o cały zestaw.

Zamknęła oczy.

Źle postąpiła, źle, źle.

A on ją jeszcze uratował.

Czy ona by się na to zdobyła?

Odpowiedź brzmi: nie.

- Wiesz co... Michael... - wydusiła, bo po prostu musiała.

- A co... Lena, cooo? - wytężył uwagę, wystawiając górną wargę jeszcze dalej niż zwykle.

- ...Dziękuję...

5.
Zakończenie - pół roku po wniknięciu.

*

Na byłym placu zabaw, w pobliżu Psiej Polany, rosła olbrzymia, rekordowo gruba lipa. Teraz nie miała liści, jej gałęzie zwisały dostojnie i symetrycznie. Najpotężniejsza, jaką kiedykolwiek widzieli.

- Cieszę się, że cię poznałam... lipo... - wyszeptała Lenka Lipińska. - Wiosną będziesz zielona... Dobrze ci się tutaj żyje. Przestrzeń, ziemia, trawa. Nie to co tamte biedne lipy... - wspomniała drzewa z alei, które wciąż żyły, ale już w sierpniu ich liście uschły i opadały. Teraz był grudzień.

- Leeenaaaa... - usłyszała flegmatyczne stąpanie, odwróciła głowę i pomachała grubemu chłopcu w puchowej kurtce i dużemu, szaremu szorstkowłosemu psu – bez kurtki, za to w miękkich solidnych szelkach z czerwonej tkaniny..

- Och, ty, ty mój Ryjku – przytuliła psa, który wyrwał się Michaelowi i z impetem na nią skoczył.

- Idziesz naaa Psią Polanę? - chłopak przybił jej piątkę i wraz z psem Ryjkiem poszli na wybieg.

Od miesiąca mieszkali bardzo blisko parku, na ulicy Wyspiańskiego. Przeprowadzili się – dla Lenki niespodziewanie. Nie wiedziała, że tata i Asia robią wszystko, by mieli ten parter starej willi dla siebie, a Park Kasprowicza – tuż obok. Był nawet miniaturowy ogródeczek, co uszczęśliwiło Lenkę. Zawsze marzyła o takim.

Gdy wtedy, w czerwcu, wrócili do mieszkania, brudni i wyczerpani (oboje), w podartych bluzkach i zniszczonych butach (ona), zapłakani (ona), pozbawieni swoich rzeczy (ona), tata i Asia najpierw wpadli w panikę.

A później było już tylko lepiej.

Dziwne, kiedy jest lepiej i lepiej, a wcześniej było tylko źle.

Lenka bała się, że wszystko w jednej chwili pryśnie. Ale poczuła, jak wiele zależy od niej samej.

Trzeba przyznać – starała się.

Nigdy nie powiedzieli tacie i Asi o tym incydencie. Lenka próbowała, ale gdy usiłowała wymówić słowa : „wniknęłam", „krew drzew", „świetliste postacie", wydawało jej się to zbyt trudne do wytłumaczenia. Brzmiało trochę jak niedorzeczna bajka.

A przecież wiedziała, że bajką nie było.

Zatem tajemnica stała się ich wspólną sprawą – jej i Michaela. Połączyła ich, a tak naprawdę mieli wrażenie, że to te drzewa ich połączyły, Że desperacko walczyły o ich los, dwójki szczecińskich dzieci.

Później nadszedł czas wakacji.

Nigdy więcej nie widzieli dzieci drzew. Ale mieli świadomość, że one tam są. Że przekrój poprzeczny miasta ujawniłby dużo więcej niż plątanina korzeni i rur zatopionych w kawałkach gruzu i piachu.

***

Po przeprowadzce i nacieszeniu się nowym mieszkaniem, a nawet prawie – domkiem - pobiegli do parku. I co zobaczyli?

Właśnie... tę gigantyczną, dorodną lipę. Troskliwie ocieniała sporą piaskownicę – jedyny element z dawnego placu zabaw.

Często tam bywali.

Teraz szli na Psią Polanę, wysoka chuda i nerwowa dziewczynka oraz stateczny, łagodny, przysadzisty chłopiec. A pies Ryjek, którego wzięli z psiej fundacji od razu po przeprowadzce (spełniło się kolejne największe marzenie Lenki!), wyrywał jak szalony. Na wybiegu hulali jego koledzy i bardzo chciał już do nich dołączyć.

Dziewczynka pochyliła się, by odpiąć smycz, i wtedy, kilkanaście metrów za nimi... lipa... zaszumiała. Tak, jakby była pokryta liśćmi, jakby pulsował ciepłem letni dzień. Jak gdyby mocny, miły wiatr zaszeleścił w lepkiej zieleni. Poczuli zapach lipowych kwiatów.

Zatrzymali się, razem unieruchomili na chwilę Ryjka, odwrócili się.

Lipa stała jak przedtem.

Popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się.

- To Śpiew Drzew... – z zachwytem wyszeptała Lenka. - Tę grupę lubię najbardziej.

Przytaknął i odpięli psu smycz.

Popędził szczęśliwy, wywijając ogonem i poszczekując.

Koniec

Upiorny Buk znad jeziora Głębokiego,

czyli o tym, że nie każdy Upiór musi być przerażający

Adrian Kopp

- Upiór, Upiór, Upiór... - coś szeleściło od podnóża potężnego drzewa. – Upiór – z lekkim skrobnięciem i chrupnięciem mignęła między liśćmi ruda kita. – Upiór!!! – krzyknęła niewielka wiewiórka ile sił w małych płuckach.

Drzewo nawet nie otworzyło oczu. Znaczy, oczywiście, drzewa nie mają oczu, ale nawet gdyby te drzewo je miało, to by nie otworzyło. Młoda wiewiórka, zwana po prostu Rudą, raz za razem badała cierpliwość starego Buka. A gdy jeszcze niedawno usłyszała, jak zwracają się do niego ludzie... No cóż, można powiedzieć, że zdecydowanie nadużywała tego imienia. Szczególnie w mniemaniu Buka.

- RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA... TO TY, OCZYWIŚCIE – powiedział bardzo wolno i bardzo słyszalnie Buk. Drzewa z reguły mówią wolno. I słyszalnie. To drugie jednak dotyczy tylko zwierząt. To znaczy, zwierzęta rzeczywiście słyszą, co drzewa mówią. – KTÓŻ INNY MÓGŁBY SPOWODOWAĆ ZAMĘT WŚRÓD TAK PIĘKNIE BRZMIĄCEJ CISZY PORANKA – kontynuował powoli, uważnie wypowiadając każde słowo. – PROSIŁEM CIĘ, BYŚ MÓWIŁA DO MNIE ZWYCZAJNIE – BUK. ALE WIDAĆ CIĘŻKO CIEBIE PRZEKONAĆ DO CZEGOKOLWIEK – zaszeleścił z ledwo wyczuwalnym westchnięciem. Wzdychał i szeleścił oczywiście bardzo wolno. Czy widzieliście kiedyś dosyć stare drzewo, któremu się spieszy? No właśnie, ja też nie.

- No, Buk-Upiór, Upiór-Buk – ja właśnie w tej sprawie! – Ruda przeskakiwała z gałęzi na gałąź, nie mogąc usiedzieć w miejscu. – Nie byłam już u Ciebie dwa dni! Dwa dni, od kiedy powiedziałeś, że potrzebujesz chwili spokoju! Wiesz, jak to dla mnie długo?! Bardzo długo – wyrzuciła z siebie wiewiórka z szybkością uciekającego zająca. – Nie mam, jak ty to mówisz o sobie, PRZESZŁO DWUSTULETNIEJ, WEDŁUG RACHOWANIA LUDZKIEGO, PERSPEKTYWY – dodała, przedrzeźniając drzewo. - O żołędziu, naprawdę

mógłbyś czasem posłuchać siebie.

Buk westchnął po raz kolejny. – DOBRZE. RUDA, MOJA DROGA, CÓŻ CIĘ ZATEM DZIŚ DO MNIE SPROWADZA?– bardzo spokojnie zapytało drzewo, nie będąc do końca przekonane, czy chce usłyszeć odpowiedź.

- No, właśnie biegłam obok Brytyjczyków, wiesz tych wielkich dębów i szli tam ludzie, i widziałam, że wcześniej byli u ciebie, znaczy przy tobie i teraz ja już wszystko wiem! – wykrzyczała na jednym oddechu. Na szczęście, gdy Buk się już rozbudził, to maleńki jazgot, dobiegający z pyszczka Rudej, nie był aż tak irytujący jak parę chwil wcześniej.

- WIĘC? COŚ MÓWILI? COŚ WAŻNEGO? – zaszeleściło drzewo z rezygnacją. Nigdy nie wsłuchiwało się w ludzkie głosy. Buk wiedział z własnego doświadczenia, że ludzki język zmienia się co jakiś czas. Ostatnio taka duża zmiana była przed ponad 70 latami, według rachuby ludzkiej, jak lubił to określać. Ludzie mówili dla niego zbyt dziwnie i zbyt szybko. Zresztą, nie był największym fanem ludzi – z reguły (acz nie zawsze – jak czasem dodawał) krzyczeli, śmiecili, łamali gałęzie, a ostatnio (czyli jakieś kilkadziesiąt lat temu) zaczęli wymyślać przezwiska. Przezwiska jak Upiór czy Wampirzyca. Na wspomnienie o przezwisku, nadanym jego żonie stojącej nieopodal, spojrzał z lekkim współczuciem w jej kierunku. Znaczy, oczywiście spojrzałby, gdyby tylko miał oczy. Wyczuwał ją jednak doskonale.

- No właśnie mówili coś bardzo ważnego! Bardzo, bardzo, bardzo! – Ruda nie mogła powstrzymać entuzjazmu. Wiewiórki, które skończyły już rok, często tak mają – energia roznosi je niesamowicie. – Bo właśnie słuchaj! To idealnie, że nazywają ciebie Upiór, a twoją żonę Wampirzyca, wiesz? Idealnie – kontynuowała, biegnąc w tę i z powrotem po jednej z gałęzi, co Buk odczuwał podobnie do tego, jak ludzie

czują łaskotanie. Drzewo się niemal uśmiechnęło. Znaczy uśmiechnęłoby się, gdyby miało usta. – A gdybyś słuchał ludzi, to byś wiedział. A nawet nie chce ci się nauczyć ich języka – prychnęła wiewiórka, zatrzymując się na chwilę i patrząc, jak Buk zareaguje na jej rewelację.

- DOBRZE. UZNAJMY, ŻE TO DOBRZE, IŻ WRAZ Z LUDŹMI RZUCASZ W NAS TAKIMI INWEKTYWAMI, ZNACZY OKREŚLENIAMI, ZNACZY „IMIONAMI". TERAZ PEWNIE POWINIENEM ZAPYTAĆ DLACZEGO TO DOBRZE, PRAWDA? – cierpliwie odpowiedziało drzewo, ponownie lekko wzdychając. Zdecydowana większość drzew jest ogromnie cierpliwa. Czy spotkaliście kiedyś takie niecierpliwe? Mi się nie zdarzyło.

- Oczywiście! Idealnie, że zapytałeś! – wykrzyknęła Ruda, podskakując z radości. – Bo widzisz, to, że ludzie przychodzą, nazywają cię Upiorem i pokazują palcami, to jest dobre tak naprawdę! Oni się wcale a wcale nie wyśmiewają z ciebie! Oni cię podziwiają – wyrzuciła z siebie wiewiórka, próbując nie zgubić ani jednego słowa, które usłyszała. – Mówili, że przez to, że jesteś tak wyjątkowy, i już wiekowy, i niesamowity, i ciekawy, i charakterystyczny, i mieszkasz w tak pięknym miejscu, i że jesteś pomnikowy to dlatego nie jesteś po prostu Buk. Dlatego jesteś Upiór! I niektórzy specjalnie dla ciebie chodzą tędy i w ogóle przyjeżdżają nad jezioro Głębokie nawet z odległości wielu, wielu kilometrów! O wiele większej odległości, niż długość Twoich korzeni razy ilość moich zapasów na zimę! Bo nie jesteś jak inne Buki! Jesteś wyjątkowy, i wiekowy, i niesamowity... - wyrzucała z siebie Ruda z prędkością wspomnianego wcześniej zająca.

- RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA, POCZEKAJ CHWILĘ – przerwał jej gwałtownie Buk. Znaczy było to szybkie i gwałtowne, ale chyba tylko w mniemaniu drzewa. – CZYLI TE

WSKAZYWANIE PALCAMI I NADAWANIE IMION, KTÓRE TAK CHĘTNIE POWTARZAŁAŚ, GDY SIĘ ZE MNĄ PRZEKOMARZAŁAŚ, TO NIE WYŚMIEWANIE SIĘ? – lekko zdziwił się Buk. – PRZECIEŻ SAMA MÓWIŁAŚ, ŻE UPIÓR TO TAKIE STRASZYDŁO – doszeleścił po chwili.

- Oj, przekomarzałam się z tobą trochę. Po prostu Upiór brzmiało tak śmiesznie i miło dla ucha – uśmiechnęła się Ruda, drapiąc się po nosie. – Zresztą, teraz jestem już pewna, że to dobrze. Upewniłam się dzisiaj, ale już od bardzo długiego czasu, czyli od tych dwóch dni, od kiedy nie rozmawialiśmy – tu z lekkim wyrzutem spojrzała na drzewo – słyszałam kilkukrotnie, że to dobrze. Bo oni nie mówią tego wyśmiewająco, ale podziwiająco. I jeszcze mówią, że jesteś pomnikowym drzewem, a to w ogóle już bardzo wielkie wyróżnienie – dodała, strzygąc lekko uszami. - Widzisz, czasem warto zejść na dół i wsłuchać się, co mówią do siebie ludzie. Szczególnie ci więksi do tych mniejszych – zakończyła wiewiórka triumfująco, bardzo dumna z siebie.

- HMMM... - zadumał się Buk. – SKORO TAK STAWIASZ TĘ SPRAWĘ, TO CHYBA NIE MOGĘ SIĘ Z TYM NIE ZGODZIĆ. JEŚLI TO WSKAZYWANIE TO PODZIW, TO CHYBA MOGĘ BYĆ UPIOREM – niespiesznie powiedziało drzewo, myśląc nad rewelacjami od Rudej. – TO W SUMIE CAŁKIEM DOBRZE ŚWIADCZY O LUDZIACH, ŻE PODZIWIAJĄ DRZEWA. I ŻE TYM WYJĄTKOWYM NADAJĄ IMIONA, BY ICH W JAKIŚ SPOSÓB WYRÓŻNIĆ. MOŻE UPIÓR NIE BRZMI NAJLEPIEJ, ALE CHYBA PRZYZWYCZAJĘ SIĘ DO TEGO IMIENIA – dodał Buk, po dłuższym zastanowieniu. W jego szeleście można było usłyszeć dumę, lekkie zaskoczenie, sympatię i... uśmiech. Oj tak, dobrze czytacie - uśmiech, nie śmiech. Uwierzcie mi – w przypadku drzew można usłyszeć uśmiech. Wystarczy się dobrze wsłuchać.

- DOBRZE, ŻE TRAFIŁA MI SIĘ TAKA CIEKAWSKA I WŚCIBSKA WIEWIÓRKA – zaszeleścił cicho do siebie. – A TERAZ NIECH TYLKO POWIEM O TYCH REWELACJACH MOJEJ ŻONIE... A RACZEJ WAMPIRZYCY – dodał z dumą i czułością.

Ruda uśmiechnęła się, zbiegając na dół, by poszukać czegoś do przekąszenia. W końcu zbliżało się już popołudnie.

Upiór o wielu talentach,

czyli o tym, że drzewa kryją w sobie wiele niespodzianek

Adrian Kopp

- Buku... Upiorku... - spod pnia rozlegał się cichy głosik Rudej, wiewiórczej przyjaciółki wiekowego już drzewa, Buka Upiora, który od nasionka zamieszkiwał okolice jeziora Głębokiego. – Upiorku... – ponownie zaczęła wiewiórka, zagłuszając delikatny zimowy powiew wiatru. W głosie zwierzątka wyraźnie słychać było prośbę.

- ECH, RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA. PRZESKOCZ ODE MNIE CZTERY SUSY W KIERUNKU MOJEJ ŻONY, WAMPIRZYCY. POTEM TRZY SUSY W LEWO I TAM POWINNAŚ JE ZNALEŹĆ – zaszumiał Upiór lekko zaspanym tonem, bardzo wolno i bardzo wyraźnie.

- Ale skąd... - Ruda podrapała się po głowie - Znaczy, przecież nawet nie wiesz, o co chciałam cię zapytać i o co chciałam cię poprosić. Naprawdę nie mam zielonego pojęcia, skąd możesz wiedzieć, że szukam...

- KOLEJNEJ KUPKI ZAPASÓW, KTÓRE SCHOWAŁAŚ SOBIE JESIENIĄ? – dokończył za wiewiórkę Buk.

Ruda stanęła jak wryta. Nerwowo zerknęła w prawo i w lewo, przejechała łapkami po swoim ogonie i spojrzała prosto na swojego drzewnego przyjaciela.

- Skąd wiesz? – zapytała, zbita z tropu.

- SZUKASZ JEJ JUŻ TROCHĘ, PRAWDA? MÓWIŁY MI O TYM JUŻ I DĘBY ZWANE BRYTYJCZYKAMI, I POBLISKIE TOPOLE, I NIEDALEKIE WIĄZY – spokojnie odparł Upiór.

- Ale ja nic nie słyszałam! Nie słyszałam, byście tak szumieli do siebie na mój temat – burknęła Ruda, obrażonym tonem.

- MOJA WYJĄTKOWA PRZYJACIÓŁKO – rzekł Buk pogodnie. – CIĄGLE NIE WIESZ

JESZCZE O DRZEWACH WSZYSTKIEGO. UMIEMY SIĘ ZE SOBĄ POROZUMIEWAĆ NIE TYLKO ZA POMOCĄ SZUMÓW. SZCZEGÓLNIE ZIMĄ TO MOŻE BYĆ UTRUDNIONE, JAKO ŻE NIE MAMY LIŚCI, PRAWDA? – dodał wszystkowiedzącym tonem. Z reguły wypowiadał się w ten sposób. Wiedział naprawdę bardzo dużo na bardzo wiele tematów. – MOŻE CIĘ TO ZDZIWI, DROGA WIEWIÓRKO, ALE W KOMUNIKOWANIU SIĘ BARDZO POMAGA NAM GRZYBNIA, KTÓRA ŁĄCZY NASZE KORZENIE. W TEN SPOSÓB PRZEKAZUJEMY SOBIE INFORMACJE O OWADACH, SUSZACH CZY JAKICHŚ NIEBEZPIECZEŃSTWACH. A DZIŚ DOSZŁY DO MNIE SŁUCHY, ŻE PEWNA PRZEMIŁA I BARDZO RUCHLIWA WIEWIÓRKA JEST CHYBA OGROMNIE GŁODNA – zakończył, szturchając Rudą lekko gałęzią.

Mała i zwinna przyjaciółka wpatrywała się z wielkim zdziwieniem w Upiora.

- Ale... to umiecie się porozumiewać jak ludzie przez sms-y albo przez sieć! Znaczy przez internet! O, żołędziu! To niesamowite – z szeroko otwartymi oczami i ze słyszalnym podziwem podjęła powoli wiewiórka.

- TAK, SIEĆ TO BARDZO DOBRE SŁOWO – odparł Buk, myśląc o drzewnych korzeniach i grzybni. – CZY WIESZ, ŻE WEDŁUG RACHUBY LUDZKIEJ MOŻEMY PRZEKAZYWAĆ SOBIE INFORMACJE Z PRĘDKOŚCIĄ JEDNEGO CENTYMETRA NA SEKUNDĘ? MOŻE DLA CZŁOWIEKA CZY ZWIERZĘCIA TO NIE JEST NAJWIĘKSZA PRĘDKOŚĆ, Z JAKĄ MOŻNA SIĘ SPOTKAĆ, ALE DLA NAS, DRZEW, KTÓRE SĄ RACZEJ STATYCZNE, TO CAŁKIEM SZYBKO – doszeleścił Upiór, puszczając oko do Rudej. A raczej puściłby – gdyby tylko miał oczy. – JEŚLI JESZCZE CHODZI O GRZYBNIĘ, TO PRZYKŁADOWO... - zaczął.

- To jest naprawdę niewiarygodne! Okropnie ciekawe! A jakimi jeszcze ciekawostkami

możesz się podzielić? Takimi wiesz... Niesamowitymi! – przerwała mu wiewiórka, zasypując go słowami. – Na wszystkie moje żołędzie, to największe rewelacje, jakie ostatnio słyszałam – dodała do siebie.

- HMMM – zastanowiło się drzewo, wcale nie zrażone. Było przyzwyczajone, że myśli i słowa Rudej biegną zdecydowanie szybciej, niż jego. – MOŻE TO, ŻE DZIAŁAMY TROCHĘ JAK TAKIE LUDZKIE URZĄDZENIA, KTÓRE WCIĄGAJĄ OGROMNĄ ILOŚĆ DWUTLENKU WĘGLA Z POWIETRZA? – zawiesił pytająco głos Upiór.

- Jak odkurzacze?! – wykrzyknęła z entuzjazmem wiewiórka, przypominając sobie niedawno usłyszaną rozmowę dużych ludzi z tymi trochę mniejszymi. Spróbowała sobie wyobrazić Upiora jako wielki drzewny odkurzacz, ale jej to zupełnie nie wychodziło. Miała całkiem odmienne wyobrażenie o odkurzaczach.

- MOŻE I JAK ODKURZACZE – zgodził się Buk. – DRZEWA POBIERAJĄ I MAGAZYNUJĄ CAŁĄ MASĘ TEGO Z POWIETRZA I PRZEKAZUJĄ GO CORAZ GŁĘBIEJ I GŁĘBIEJ – dumnie dodało drzewo. – CZY WIESZ, ŻE MOI PRZODKOWIE MÓWILI MI, ŻE Z TEGO PO BARDZO, ALE TO BARDZO DŁUGIM CZASIE (NAWET Z PERSPEKTYWY DRZEW) POWSTAJĄ TAKIE CZARNE KAMIENIE, KTÓRE LUDZIE WYKOPUJĄ I WRZUCAJĄ DO PIECA? – zapytał Upiór, wiedząc oczywiście, jak nazywają się te „czarne kamienie", ale bardzo lubił, gdy Ruda zgadywała nazwy, które miał na myśli.

- Węgiel?! – krzyknęła mu prosto w ucho wiewiórka. Naturalnie, nie w ucho, bo drzewa nie mają uszu, ale Buk czuł się tak, jakby krzyknęła mu w ucho.

- TAK, TAK. WĘGIEL – potwierdziło drzewo. – POMAGAMY LUDZIOM, POBIERAJĄC DWUTLENEK WĘGLA I WYDZIELAJĄC TLEN, A DODATKOWO PO BARDZO, ALE TO

BARDZO DŁUGIM CZASIE...

- Produkujecie węgiel! Cudowne, niesamowite, przeogromnie fascynujące – podskakiwała z zachwytem Ruda, ponownie przerywając Bukowi. – A co jeszcze tak niesamowicie niesamowitego robicie? Oprócz własnego internetu i smsów, bycia odkurzaczem – wyliczała bardzo przejęta. – No i tym, że pamiętacie nieskończenie wiele. Co jeszcze? Co? Co? Co? – wołała wiewiórka raz za razem biegnąc po upiorowych gałęziach. Jak można zauważyć, cierpliwość nie była jej największą zaletą.

- ECH – westchnęło drzewo. W westchnieniu wyraźnie było słychać ogrom cierpliwości. – MOŻNA JESZCZE O NAS POWIEDZIEĆ – rzekł Upiór - ŻE JA I MOI LIŚCIAŚCI PRZYJACIELE DZIAŁAMY TROCHĘ JAK TE URZĄDZENIA REGULUJĄCE TEMPERATURĘ...

- Klimatyzatory?! – Ruda aż przystanęła. – Nie no, w to już nie uwierzę. Macie smsy i internet, jesteście jak odkurzacze i jeszcze teraz jak klimatyzatory?! – z niedowierzaniem zapytała wiewiórka, kojarząc do tej chwili te urządzenia tylko z ludźmi. W końcu tylko z ich ust słyszała te nazwy i opisy tych urządzeń.

- RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA. WYKAŻ ODROBINĘ CIERPLIWOŚCI – Buk wciągnął głęboko powietrze. – NIE WIEM JAK TY, ALE JA NIE PRZEPADAM ZA WIELKIMI ZMIANAMI TEMPERATURY CZY WILGOTNOŚCI. DLATEGO JAK JEST CIEPŁO, WODA Z ZIEMI PARUJE, A PAROWANIE DAJE CHŁÓD. MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE SIĘ TROCHĘ POCIMY – wesoło powiedział Upiór. – DODATKOWO SWOIMI GAŁĘZIAMI CZERPIEMY NIE TYLKO SŁOŃCE, ALE I DESZCZ, KTÓRY SPŁYWA Z LIŚCI NA LIŚCIE, AŻ TRAFIA DO NASZYCH KORZENI. W CZASIE PORZĄDNEGO DESZCZU JESTEM W STANIE WYPIĆ PONAD 1000 LITRÓW WODY I PRZECHOWAĆ JE NA BARDZIEJ SUCHE CZASY –

zakończyło drzewo dumnie.

- Ale skoro jesteście jak klimatyzatory... – zaczęła Ruda.

- TAK, DZIĘKI LIŚCIOM POTRAFIMY OBNIŻYĆ TEMPERATURĘ WOKÓŁ NAS – tym razem to Upiór dokończył zdanie za wiewiórkę, co nie zdarzało się zbyt często. – W UPALNE DNI TEMPERATURA PRZY ZIEMI W LESIE LIŚCIASTYM JEST OKOŁO 10 STOPNI NIŻSZA OD TEMPERATURY POWIETRZA. OCZYWIŚCIE WEDŁUG...

- Według rachuby ludzkiej – przyjaciółka weszła mu w słowo. – Tak, tak, wiem. To niesamowite. Jesteście niesamowici, Upiorze, naprawdę. Ja jestem pod wrażeniem – powiedziała Ruda po chwili. – Nie dość, że tyle robicie dla ludzi – no wiesz, z tlenem, węglem i temperaturą, to jeszcze ten wasz sposób porozumiewania... - dodała wiewiórka z ogromnym szacunkiem patrząc na swojego przyjaciela.

Zadrżała lekko - w końcu nadchodził już wieczór. Zimowy wieczór. Rozmowy z drzewami nie trwają krótko. Można czasem zapomnieć, co się chciało zrobić przed rozmową. W lekkim powiewie wiatru rozległo się ciche burczenie w czyimś małym brzuszku.

- Eee, Upiorku. Nie to, żebym zmieniała temat, bo naprawdę mocno mi zaimponowałeś i ogromnie cię szanuję i podziwiam, ale... - nieśmiało podjęła Ruda.

- TAK, RUDA. WIEM. CZTERY SUSY W KIERUNKU MOJEJ ŻONY, WAMPIRZYCY. POTEM TRZY SUSY W LEWO I TAM POWINNAŚ ZNALEŹĆ SWOJE ZAPASY. SMACZNEGO – rzekł Upiór, którego docenienie ze strony małej przyjaciółki wprawiło w bardzo dobry humor.

- Dziękuję! Jesteś najlepszy – wykrzyczała wiewiórka, zbiegając w dół po konarze.

Buk patrzył, jak w coraz ciemniejszym już lesie malutka wiewiórka z radością pałaszowała przysmaki, które schowała tam jesienią. Zapowiadała się zimowa, piękna noc.

Upiorne wspomnienia Buka znad jeziora Głębokiego,

czyli o tym, że lepiej się uczyć na błędach (nie tylko swoich)

Adrian Kopp

Upiór rozkoszował się południowym słońcem. Wreszcie zaczynała się ta pora roku, podczas której robiło się cieplej, przyjemniej, a on mógł się powoli i z rozmysłem zielenić, wypuszczając coraz to więcej młodych - oczywiście zielonych - listków. Do tego śpiew ptaków, szum jeziora i wszelkie inne wodno-leśne odgłosy sprawiały, że była to zdecydowanie ulubiona pora roku Buka. Potrafił się zasłuchać na całe godziny i dni. Godziny i dni, podczas których wraz z wiosną wracała radość, powietrze robiło się łagodniejsze, a w okolicy pojawiała się coraz większa liczba przyjaciół.

- Upiór! Upióóóóór! – Buk z daleka usłyszał znajomy głosik. Ruda nie przespała całej zimy - w końcu wiewiórki nie zapadają w sen zimowy. Mimo to ostatnimi czasy jej aktywność znacznie spadła. Była mniej rozmowna, pałała mniejszym entuzjazmem i bardzo dużo spała. Buk cieszył się, że nastrój jego przyjaciółki wracał do normy. Czasem bywał nią zmęczony, ale w gruncie rzeczy bardzo cieszyło go towarzystwo Rudej.

- Upiór! – wiewiórka zwinnie wbiegła na gałęzie, wykrzykując imię drzewa. – Dziś jest wiosna! Obiecałeś! Obiecałeś, że wiosną mi opowiesz! Pamiętasz? Obiecałeś, obiecałeś, obiecałeś – pyszczek zwierzątka ruszał się z prędkością ruchu skrzydeł pszczoły - czyli z bardzo dużą. Upiór był zawsze pod wrażeniem tego, z jakim tempem potrafi mówić Ruda - szczególnie w momentach wielkiej ekscytacji czy radości.

- OBIECAŁEM, OBIECAŁEM. A CÓŻ JA CI TAKIEGO OBIECAŁEM RUDA, RUDZIA, RUDZIEŃKA? – powoli, ważąc każde słowo, zapytał Buk. W ciągu ostatniego roku wiele rozmawiali, więc mogły paść różne obietnice. A termin na spełnienie takowych by się zgadzał – wiosna była momentem, gdy drzewo było chętniejsze do rozmów, wspomnień i opowieści.

- No, że opowiesz mi o tych spadających gwiazdach, których nawet ty się bałeś. I o chowających się ludziach, ogromnych hałasach i jak w ogóle było tak bardziej szaro i niespokojnie, i gdy różne języki się zmieniały – jednym tchem wyrzuciła z siebie Ruda.

- ACH, TAK... - zamyślił się na chwilę Upiór. – JUŻ PAMIĘTAM – dodał po chwili. Wrócił do chwil, gdy był o wiele młodszym drzewem. Gdy miał niemal 80 lat mniej, według ludzkiej rachuby. – NO DOBRZE, RUDA. PAMIĘTAJ JEDNAK, ŻE TO NIE BĘDZIE WESOŁA HISTORIA. TO, O CZYM CI OPOWIEM, WYDARZYŁO SIĘ PONAD 15 WIEWIÓRCZYCH ŻYĆ TEMU. CZĘŚCI WYDARZEŃ BYŁEM ŚWIADKIEM, O CZĘŚCI OPOWIEDZIAŁY MI RÓŻNE ZWIERZĘTA, A O JESZCZE INNYCH DOWIEDZIAŁEM SIĘ DZIĘKI GRZYBNI, KTÓRA PRZEKAZUJE WIADOMOŚCI OD KORZENI JEDNYCH DRZEW DO KORZENI INNYCH. WIESZ, DZIAŁA ONA TROCHĘ JAK TE LUDZKIE MSM-Y – zaszeleścił Upiór, przypominając sobie minione dzieje.

- Sms-y! Mówiłam ci, że to sms-y, nie msm-y. Skąd ty to wziąłeś w ogóle? Przecież to nawet ciężko wymówić – z lekkim chichotem powiedziała Ruda. – No ale już – opowiadaj, opowiadaj! Nie mogę się doczekać! To musi być przeogromnie ciekawe! – dodała wiewiórka, nie kryjąc emocji i ekscytacji. Oczywiście nie mogła usiedzieć w jednym miejscu, więc przeskakiwała z miejsca na miejsce.

- HMM... ZATEM JAK JUŻ MÓWIŁEM... – podjął Upiór – Z TWOJEJ, A NAWET LUDZKIEJ PERSPEKTYWY BYŁO TO DAWNO, A Z MOJEJ – WCALE NIE AŻ TAK. TO PRAWIE POŁOWA MOJEGO ŻYCIA, A STARY SIĘ JESZCZE NIE CZUJĘ – zamilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów. – LUDZIE NAZYWALI TEN CZAS WOJNĄ. I TO NIE BYŁA NAWET PIERWSZA WOJNA. BYŁA TO DRUGA WOJNA ŚWIATOWA – TAK MÓWIŁY MI KRUKI, KTÓRE BARDZO LUBIŁY SŁUCHAĆ, CO LUDZIE MÓWILI MIĘDZY SOBĄ –

znowu zawiesił głos. Opowiadanie o tak trudnych wydarzeniach wiewiórce, która miała nieco ponad rok, nie było najłatwiejsze. Przyjemniej opowiada się o rzeczach miłych czy pięknych. Druga wojna światowa z pewnością nie była ani miła, ani piękna. Jak pewnie sami wiecie – był to bardzo trudny, nieprzyjemny i straszny czas.

- WOJNA TO OKRES, GDY LUDZIE WALCZĄ ZE SOBĄ. NIE TYLKO SIĘ KŁÓCĄ, CZY NAWET PODNOSZĄ NA SIEBIE PIĘŚCI, ALE ATAKUJĄ SIĘ WZAJEMNIE. UŻYWAJĄ DO TEGO RÓŻNYCH BRONI, NISZCZĄC SIEBIE I WSZYSTKO WOKÓŁ. TA WOJNA BYŁA SZCZEGÓLNIE NISZCZYCIELSKA. NIE TYLKO DLA LUDZI, ALE I CAŁEJ NATURY – snuł opowieść Buk, starannie dobierając słowa. Ruda zadrżała, na co drzewo ją przytuliło. – WCZEŚNIEJ MIESZKALI TU LUDZIE, KTÓRZY MÓWILI W JĘZYKU NIEMIECKIM, TAK MÓWIŁY MI KRUKI. W PEWNYM MOMENCIE POJAWIŁO SIĘ WIELU LUDZI TAK SAMO UBRANYCH - TROCHĘ SZARO, A TROCHĘ ZIELONO. OKAZAŁO SIĘ, ŻE TO WOJSKOWI W MUNDURACH. RAZEM Z NIMI PRZYBYŁO DUŻO MECHANICZNYCH POJAZDÓW, ALE TAKICH O WIELE CIĘŻSZYCH NIŻ SAMOCHODY CZY TRAMWAJE – kontynuował. - Z MOJEJ PERSPEKTYWY NIE TRWAŁO TO BARDZO DŁUGO, ALE STRACH, SMUTEK I BEZRADNOŚĆ UDZIELAŁY SIĘ WSZYSTKIM – ROŚLINOM, ZWIERZĘTOM I LUDZIOM. SAMA WIESZ, ŻE LUDZIE POTRAFIĄ NISZCZYĆ WSZYSTKO WOKÓŁ. POTRAFIĄ TEŻ TWORZYĆ PIĘKNE RZECZY, NAPRAWIAĆ I POMAGAĆ – SĄ NAPRAWDĘ DZIWNI – zamyślił się Buk nieco dłuższą chwilę.

- A te gwiazdy...? – niepewnie zapytała Ruda. - Mówiłeś coś o gwiazdach, których nawet ty się bałeś – dodała cicho, wtulając się w młode liście Upiora.

- TAAAAK, GWIAZDY – zaszeleściło drzewo. – KRUKI JUŻ WTEDY MÓWIŁY, ŻE TO

BOMBY, ALE WYGLĄDAŁY ONE JAK SPADAJĄCE GWIAZDY, WIĘC PRZY TAKIEJ NAZWIE ZOSTAŁEM. WIELE ICH TU BYŁO. CHYBA Z 500 TAKICH BOMB SPADŁO DO TEGO JEZIORA, DO GŁĘBOKIEGO – powiedział Upiór, mając na myśli akwen, przy którym mieszkał już tyle lat, od nasionka. – NIGDY NIE WIDZIAŁEM TYLU SPADAJĄCYCH GWIAZD, CO WTEDY. SZCZEGÓLNIE TAKICH, KTÓRE POWODUJĄ TAKI OGROMNY HAŁAS I ZNISZCZENIA – dodał smutno. – WIESZ, WTEDY NABRAŁEM OGROMNEGO DYSTANSU DO LUDZI. DOPIERO NIEDAWNO ZACZĄŁEM SIĘ ZNOWU DO NICH PRZEKONYWAĆ – westchnął cicho.

- To musiały być bardzo złe czasy. Pewnie przeogromnie bym się bała i nawet z dziupli bym nie chciała wyjść. Chyba, że tylko po jedzenie i by znowu się schować i przeczekać. Dobrze, że tobie udało się przetrwać te ciężkie czasy. Tobie i Wampirzycy – powiedziała, patrząc na bukową żonę Upiora, szumiącą nieopodal.

- Z PEWNOŚCIĄ NIE BYŁY TO ŁATWE CZASY. BYŁO SMUTNIEJ I CIEMNIEJ – NAWET SŁOŃCE JAKBY SŁABIEJ ŚWIECIŁO. LUDZIE TAKŻE CHOWALI SIĘ PO LASACH, BOJĄC SIĘ WYBUCHÓW, ODGŁOSÓW WYSTRZAŁÓW I INNYCH LUDZI. I WYCHODZILI CZASEM TYLKO PO JEDZENIE – ZACHOWYWALI SIĘ ZATEM PODOBNIE DO CIEBIE. ZWIERZĘTA RÓWNIEŻ UCIEKAŁY, A MY – tu spojrzał na swoją żonę – CÓŻ, MOGLIŚMY TYLKO CZEKAĆ I LICZYĆ NA TO, ŻE SKOŃCZY SIĘ TO DOBRZE – doszeleścił po chwili, uśmiechając się smutno do swoich wspomnień – WOJNA, MIMO ŻE NIE TRWAŁA BARDZO DŁUGO, JAK JUŻ MÓWIŁEM, ZOSTAWIŁA PO SOBIE NAPRAWDĘ WIELKIE ZNISZCZENIA – DZIURY, RUINY, POWALONE DRZEWA – NAWET TE, KTÓRE BYŁY DOROSŁE I BARDZO SILNE. WIELE ZWIERZĄT I LUDZI, KTÓRE ODWIEDZAŁO TO MIEJSCE, NIE POWRÓCIŁO JUŻ. WKRÓTCE POJAWILI SIĘ TEŻ LUDZIE, KTÓRZY ZACZĘLI MÓWIĆ W INNYM JĘZYKU – POLSKIM – TAK TEN JĘZYK NAZWAŁY KRUKI.

ALBO WYMYŚLIŁY SAME TĘ NAZWĘ, ALBO TEŻ PODSŁUCHAŁY OD SAMYCH LUDZI – Buk powrócił na chwilę do swoich myśli. – POTEM ZACZĄŁ SIĘ CZAS ODBUDOWY – ZACZĘTO PORZĄDKOWAĆ, REMONTOWAĆ, ODNAWIAĆ. OKOLICA ZROBIŁA SIĘ NA POWRÓT SPOKOJNA I RADOSNA... TRWAŁO TO O WIELE DŁUŻEJ NIŻ SAMA WOJNA, ALE ZNÓW BYŁO DOBRZE, JAK PRZED NIĄ – uśmiechnął się Buk. A raczej uśmiechnąłby się, gdyby drzewa się uśmiechały.

- Bardzo się cieszę, że przeżyłeś tę całą wojnę. Bo tak nie miałabym wspaniałego przyjaciela. I że byłeś taki odważny. Ja bym zamartwiała się ogromnie i ciągle bym myślała, co to będzie... - powiedziała Ruda, patrząc na jezioro. – Ale to smutne, że ludzie potrafią tak niszczyć. Mam nadzieję, że nie będę musiała żyć w czasie wojny – dodała wiewiórka, drapiąc się po pyszczku.

- TO NIE MIAŁO NIC WSPÓLNEGO Z ODWAGĄ. PO PROSTU TU STAŁEM WRAZ Z WAMPIRZYCĄ CZEKAJĄC, AŻ TO MINIE. I MINĘŁO. PODOBNIE JAK TY MAM JEDNAK NADZIEJĘ, ŻE NIE BĘDZIE JUŻ WOJNY. ŻE LUDZIE POTRAFIĄ SIĘ UCZYĆ NA SWOICH BŁĘDACH, BŁĘDACH SWOICH PRZODKÓW I NIE DOJDZIE JUŻ DO CZEGOŚ TAKIEGO – powiedział Upiór, również wpatrując się w jezioro. – I MASZ RACJĘ – LUDZIE POTRAFIĄ NISZCZYĆ JAK NIKT INNY. ALE TEŻ POTRAFIĄ TWORZYĆ...

- TWORZYĆ PIĘKNE RZECZY, NAPRAWIAĆ I POMAGAĆ – powiedziała Ruda, naśladując drzewo. – Tak, mówiłeś. Oby częściej jednak robili to drugie.

- OBY – powtórzył Buk. NIKT NIE MA TAKIEGO WPŁYWU NA ZIEMIĘ JAK LUDZIE. CAŁA NADZIEJA ZATEM JEST W NICH. PRZEZ WIĘKSZOŚĆ MOJEGO ŻYCIA, NIEZALEŻNIE OD JĘZYKA W KTÓRYM MÓWILI, POKAZYWALI SIĘ Z DOBREJ STRONY. DLATEGO ZACZYNAM ZNOWU W NICH WIERZYĆ I IM UFAĆ.

- Jesteś starszy i pewnie mądrzejszy, więc obyś miał rację – zastrzygła uszami wiewiórka, rozglądając się po zadbanej i urokliwej okolicy. – Uczenie się na błędach jest bardzo ważne. Tak, by ich najlepiej już nigdy nie powtarzać – dodała z lekko przemądrzałym tonem. – Ale następnym razem opowiesz mi coś bardziej radosnego, dobrze? – zapytała, gładząc łapką bukową korę.

- OCZYWIŚCIE, RUDZIEŃKA. W KOŃCU WIĘKSZOŚĆ MOICH WSPOMNIEŃ JEST RADOSNA – Upiór uśmiechnął się do ogromnej ilości chwil i momentów, których był świadkiem przez ponad 200 lat według ludzkiej rachuby. A raczej uśmiechnąłby się, gdyby tylko drzewa się uśmiechały.

Legenda o Pysznym Klonie

Wojciech Kuczyński

Mówią, że po ziemi chodził kiedyś człowiek najmędrszy wśród wszelkiej istoty. Mędrszy od żółwi, ptaków, strumieni, gór, drzew; mędrszy od innych ludzi. Wielu chciało udowodnić, że to nieprawda i poddawali go próbom. Wyzwał go także stuletni klon, który wierzył, że dziedziczona przez drzewo pamięć przodków daje mu większą mądrość. Jednak on, podobnie jak wielu przed nim i wielu po nim, poniósł klęskę i Mędrzec po raz kolejny pokazał, że w pełni na swe miano zasłużył. Człowiek, chcąc skarcić pychę drzewa, zażądał w nagrodę wspomnień przodków klona. Na to przerażona roślina zaczęła błagać i przepraszać Mędrca, mówiąc, że pamięć przodków to jego największa świętość i woli oddać życie, niż nią. Na to Mędrzec rzecze:

“Niechże tak będzie, pamięć przodków ci ostawię. Acz pycha twa ukarana być musi, zatem poddane będziesz próbie - ty i dwoje twych potomków. U kresu żyć waszych, nim ostatnie zrzucicie nasiona, skosztować musicie wody, która życia nie ratuje, acz życia w niej wiele; która dla jednych domem, dla innych grobem; w której jedni znajdują bogactwa, a inni mękę i śmierć; której tu nie uświadczysz, a daleko na północ jej w bród. Jeśli skosztować wam nie będzie jej dane, to część pamięci swych przodków mi oddacie, a jeśli drugi z potomków próbie nie podoła, oddacie mi pamięć swą całą. Jestem jednak litościwym Mędrcem i zostawię wam do pomocy istoty, dzięki którym porozumiecie się z innymi, z których pomocy skorzystać chcielibyście. Pamiętajcie jednak, że pomóc wam w uniknięciu kary mogą tylko ci, dla których znaczycie cośkolwiek więcej, niż ten pył na wietrze”.

***

- ...No i jakoś tak to szło, kojarzysz, babka ci na pewno tę legendę opowiadała!

- Wiem, że moja babcia ma bzika na punkcie okolicznych legend, ale to nie oznacza,

że opowiadała mi każdą bajdę, także o Pysznym Klonie.

- No widzisz, jak znasz jej nazwę, to jednak ci opowiedziała.

Hilde westchnęła i wzruszyła ramionami. Franz oczywiście miał rację, ale mimo świadomości tego faktu i tak powtórzył dziewczynie prawie całą legendę, co stawało się irytujące. Chłopak twierdził, że ta bajka to prawda i że klon, na którym się od czasu do czasu bawią, jest tym przeklętym drzewem. Dziewczynka nie chciała w to uwierzyć, bo po pierwsze to było bluźnierstwo i za coś takiego dorosły - a już szczególnie jej świątobliwa matka - mógłby im spuścić tęgi łomot. Poza tym ten klon to rzeczywiście było ich główne miejsce zabaw. A że czasu na zabawę pomiędzy pracą w polu, oporządzeniem zwierząt w gospodarstwie i innymi obowiązkami dzieci z rodzin chłopskich było bardzo mało, to szkoda by jej było, gdyby dorośli na przykład ścięli drzewo myśląc, że w jego środku mieszka diabeł albo inny boruta. Mieszkańcy Scheune mieli mocno zakute łby i czasem zachowywali się, jakby byli nawiedzeni.

- Hilde, ale czemu mi nie wierzysz? Sama przyznałaś, że jak się bawimy obok drzewa, to słyszysz taki dziwny szum! I że jak czasem jest cicho w okolicy to jakby coś szeptało!

- Przestań mnie straszyć i nie wygaduj głośno takich bzdur, bo jeszcze jaki dorosły usłyszy i znowu dostaniemy po uszach!

Hilde nie lubiła, jak Franz zaczynał te swoje dziwne tematy podczas prac domowych. Przy zamiataniu izb albo zbieraniu prania kręciło się dużo dorosłych i tylko dzieciaków przekonały się niejednokrotnie, że rodzice nie lubią, jak się gada na pewne tematy.

- No to nie będę nic gadał, ale weź wreszcie spróbuj ze mną się w to wsłuchać, a nie ciągle skaczesz po gałęziach drzewa i udajesz, że mnie nie słyszysz!

- No dobrze, jak obiecasz, że słowa dotrzymasz i skończysz wałkować te drzewa i legendy, to się już wsłucham w ten szum... Ale zobaczysz, pewnie się okaże, że tam jakie gniazdo os ukryte i nic z tego dobrego nie będzie.

Hilde zdawała sobie sprawę z tego, że ten klon był dla niej i Franza wyjątkowy. Rósł na tyle blisko ich domostw, że mogli się na nim bawić bez obaw o zaczepki innych dzieciaków. Franz był kaleki - miał jedną nogę krótszą - i często był dla innych pośmiewiskiem. Hilde z kolei odziedziczyła paskudny, haczykowaty nos po mamie, jednak wiedziała, że ma dopiero 10 lat i widziała, jak starsze dziewczyny, dorastając, zmieniały się z brzydul w piękności. Siłą rzeczy ta dwójka najczęściej padała ofiarami drwin ze strony rówieśników. Zmuszeni do znalezienia nowego, bezpiecznego miejsca zabaw, trafili na ten klon, rosnący nieco na uboczu wioski. Hilde lubiła szczególnie wspinać się na drzewo i skakać po jego gałęziach - wydawało jej się, że klon wie, gdzie wypuścić nowe pędy, by być jak najwygodniejszym do wspinaczki. Franz z powodu kalectwa nie był w stanie hasać po drzewie tak jak koleżanka, ale i tak często go można było zobaczyć na niższych gałęziach albo opartego o pień i ucinającego sobie drzemkę.

Od kilku miesięcy chłopiec przejawiał coraz większe zainteresowanie klonem. Hilde zauważyła to dosyć szybko, ale nie komentowała tego zachowania, póki Franz sam się z nią nie podzielił swoimi podejrzeniami. I chociaż sprawiała wrażenie, że uważa domysły kolegi za wyssane z palca, to była pewna dwóch rzeczy. Rzeczywiście, to drzewo było dla niej z jakiegoś powodu wyjątkowe i w jego pobliżu czuła się... inaczej. Nie potrafiła tego nazwać, ale gdyby jej zawiązano oczy, to bez tego od razu by wyczuła, gdyby ktoś ją zaprowadził pod ten klon.No ale jutro wreszcie “posłuchają” z Franzem tego szumu i będzie miała spokój z tymi jego historiami.

Nie mieli za dużo czasu. Był czas żniw i wolnego czasu było tyle, co kot napłakał, musieli za kilkanaście zdrowasiek wrócić na pole.

- No chodź, usiądź tutaj ze mną, nikt nas nie będzie widział.

- Naprawdę Franz, chcesz marnować tę resztkę wolnego czasu na wsłuchiwanie się w drzewo?

- Obiecałaś!

- No dobra...

Hilde usiadła obok Franza. Z jednej strony zasłaniało ich drzewo, z drugiej przydrożne krzaki. Pogoda była bardzo ładna, lato w tym roku dopisało, błękit roztaczającego się nad głowami nieba wręcz oślepiał. Lekki wiatr niósł odgłosy życia na wsi i czasem brzęczenie przelatujących owadów.

“Bez sensu... i jak niby miałabym coś usłyszeć?” - pomyślała Hilde. Jednak po paru minutach słuch dziewczynki się przyzwyczaił i zaczął wyłapywać poza szumem liści na wietrze także inny odgłos... Też szum? Chyba tak, ale trochę inny, jakby ktoś pocierał coś blisko jej uszu. Gdy Hilde próbowała się na tym bardziej skoncentrować, nagle poczuła szturchnięcie od strony Franza. Chłopiec na coś się gapił i bezgłośnie wskazywał to koleżance.

Hilda podążyła za jego wzrokiem i ujrzała... nic. Przynajmniej na początku tak jej się wydało. Po chwili stwierdziła, że jednak coś widzi; subtelne błyski, ruchy, wskazujące, że coś się kłębi pomiędzy nimi a drzewem. A im dłużej na to patrzyła, tym wyraźniej dostrzegała zależność tego, co widzi i słyszy.

Przed parą unosiły się usta i przemawiały do nich. Wizerunek ten tworzyły setki małych... ludzików? Istoty były wielkości muszek, ale łatwo można było dostrzec, że poza skrzydłami mają maleńkie rączki i nóżki. No i oczy, maleńkie, a jednak mieniące się wszystkimi kolorami tęczy... jak oczy ważki.

Hilde była jednocześnie przerażona i zachwycona. Miała styczność z czymś BARDZO niecodziennym i napawało to ją strachem. Z drugiej strony odczuwała dziwny... spokój? Jakby była pewna, że to, co widzi i słyszy, w żaden sposób jej nie zagraża. Teraz była pewna, że źródłem szumu są te maleńkie istoty i że w ten sposób one do niej przemawiają:

...WaszejPomocyPotrzebujęDniMychKresNADCHODZIpotrzebnaInnaWodaDlaPragnieniaMEGOInaczejPamięćMaNaWiekiUMRZEproszęWasDrobneIstoty...

Monotonny, jednostajny potok słów, niewiele głośniejszy od szemrania liści. Dziwne usta, unoszące się w powietrzu i poruszające się w rytm tych dźwięków. Hilde była jak zahipnotyzowana, dopiero któreś z kolei szturchnięcie Franza ją wybudziło.

- Chodź Hilde, wołają nas do pracy!

- Ale...

- Później pogadamy!

- Co to było?!

- Mówiłem, że ta bajka to prawda! Sama słyszałaś, “inna woda”! Pamięć na wieki umrze”! Tak samo jak w legendzie o Pysznym Klonie!

- Aaale jak to?! Dlaczego nikt inny tego nie widzi?!

- Nie pamiętasz, jak było w bajce? Głos drzewa słyszeli tylko ci, w których sercach miało ono swoje miejsce! A nie wiem jak ty, ale ja uwielbiam spędzać czas wokół niego.

- Chyba masz rację... Ale jeżeli nawet, to co mamy zrobić? O jaką wodę chodzi? Święconą? A może lepiej, byśmy nic nie robili, może to diabelskie sztuczki?! A może to Rokita schował się w tym klonie?

- Rokita chowa się w wierzbach! Poza tym sama mówiłaś, że to tylko bzdury i bajdy dla dzieci, a nagle w nie wierzysz?!

- No bo to nie jest normalne, jak drzewo do ciebie gada! I jeszcze widziałeś te maleńkie skrzydlate ludziki?! Wyglądały, jakby ktoś połączył człeka i komara! Diabelska robota!

- No dobra, jak nie chcesz Hilde, to mi nie pomagaj. Ale przynajmniej nie mów nic o tym dorosłym!

- Ale Franz, co, jeżeli coś złego ci się stanie?

- A co, czy jak tam byłaś, to czułaś, by miało się zdarzyć coś złego?

- No nie, ale...

- Ja też nie czułem nic złego, a wręcz przeciwnie! Ja tam w niedzielę po kościele idę znowu wysłuchać klona, chcę mu pomóc! A ty jak chcesz!

- Ale w niedzielę mieliśmy posprzątać w domostwach, nasi rodzice jadą wtedy do Stettina na rynek!

- Nie będzie ich pół dnia, z porządkami się uwiniemy, a wysłuchanie drzewa nie zajmie tyle czasu! Jak się postaramy, to nikt nas nie zauważy!

- Ech, no nie wiem...

Hilde jednak uległa namowom Franza oraz własnej ciekawości.

W niedzielę po mszy grzecznie poczekali, aż rodzice pojadą furmanką do miasta, a potem wymknęli się do drzewa. Praktycznie od razu usłyszeli charakterystyczny szum-mowę, a przed nimi pojawiły się niby-usta. I rzeczywiście, docierał do nich opis bajki o Pysznym Klonie, opowiedziany z perspektywy pierwszej osoby. Dowiedzieli się także, że przodek drzewa nie został polany tą "inną wodą", także klon nie pamięta nic z tamtego życia, poza spotkaniem z Mędrcem.

-...Wypełnia me soki strach, że któreś z moich dzieci nie pozna mojego losu, podobnie jak ja nie poznałem losu mego ojca. A gdy i potomkowi memu się nie uda, utracimy na zawsze pamięć wszystkich naszych przodków...

Dzieci próbowały porozmawiać z drzewem. To jednak cały czas zachowywało się jak staruszek ze sklerozą; wciąż wracało do tego samego tematu, powtarzając, że tylko oni je słyszą, bo "znaczy ono dla nich cośkolwiek więcej, niż ten pył na wietrze".

- To nie ma sensu Franz, nic więcej się od niego nie dowiemy! Nawet nie wiem, czy ono w ogóle nas słucha!

- Przecież odpowiada na nasze pytania!

- No tak, ale ciągle wraca do tej legendy i krąży wokół niej! Już chyba 4 razy powtórzyło, że tylko my je możemy usłyszeć bla bla bla... Nie mamy już po co go słuchać! W końcu

już je pytaliśmy czy wie, o jaką wodę chodzi.

- No nic, to musimy sami rozwiązać tę zagadkę... Hilde, a może spytasz się swojej babci? W końcu nikt tak jak ona nie zna okolicznych legend.

- Żartujesz, prawda? Wiesz, że jak raz spytam babcię, to mi ona nie da spokoju do końca dnia! I mama znowu będzie na mnie krzyczeć, że zajmuję się głupotami.

- No weź, nie bądź taka, poświęć się dla drzewa!

- Jeszcze czego, może... rany boskie Franz, patrz! Słońce już dawno zenit minęło! Rodzice zaraz wrócą, a my nic nie posprzątaliśmy!

- Co?! O rety, prawda! Biegnijmy szybko do domów i sprzątajmy, a potem może zdążysz jeszcze odwiedzić babcię?

- Nigdy w życiu!

Hilde oczywiście poszła do babci, a właściwie zagadała ją, gdy pomagała jej przy krosnach.

- Babciu, a pamiętasz tę legendę... o tym klonie i Mędrcu?

- Oczywiście, że pamiętam, dziecinko! A co ci się stało, że tak nagle cię na nią wzięło?

Kobieta spojrzała na dziewczynkę z błyskiem w oku “Ona wie!” - zaczęła panikować w myślach Hilde. “Ona doskonale o wszystkim wie! Jak zawsze!”. Wzięła się jednak w garść i odpowiedziała na głos:

- No bo przypomniała mi się ta zagadka z legendy... o tej wodzie... wiesz babciu,

co to może być?

- Haha dziecinko, zagadka jest prostsza niż myślisz! Ale jak nie znasz odpowiedzi, to spytaj się wujka Tobiasa, jak nas odwiedzi! Od razu ci odpowie!

Hilde była zaintrygowana odpowiedzią babci. Wujek Tobias, brat jej ojca, bardzo rzadko ich odwiedzał, bo pracował jako marynarz i woził z kupcami różne towary po portach na północy... Hanzą to nazywali, czy jakoś tak. No ale co marynarz może wiedzieć o wodzie... zaraz...!

- ...No i jaka jest tam woda?

- No słona, tak twój wujek opowiadał.

- No tak, słona, ale ryb w niej pływa co nie miara!

- To o co chodzi z tym domem i grobem? Z bogactwami i męką?

- Franz, weź trochę sam pomyśl! Wujek to mieszka właściwie na statku! A mało marynarzy się potopiło albo ich morskie bestie pożarły? A mało kupców się fortun dorobiło na handlu morskim? A mało rozbitków męki głodu przeżywało, byli jak zabawki w morskiego żywiołu łapach?

- Teraz to gadasz jak twoja babcia!

- Cicho bądź, bo ci nie pomogę! Potrzebujemy wody z morza! To nią trzeba podlać ten klon!

- Łatwo gadać, skąd my ją tu weźmiemy? Do morza wiele dni drogi, nawet go nigdy nie widzieliśmy. A wodę z morza po co ktoś miałby wozić tutaj, jak nawet nią

pragnienia nie ugasisz?

- Spróbuję wuja wybłagać, by przywiózł chociaż jej małą flaszę! Coś wymyślę!

- Hilde, też się nad tym będę głowić, ale obawiam się, że w twoim wuju cała nadzieja!

Wuj Tobias odwiedził Scheune dopiero rok później, gdy jego statek zawinął do portu w Stettinie. Wysłuchał prośby Hilde i chociaż był nią zdziwiony wielce, to postanowił słowa dotrzymać. Niestety, o żywot marynarza upomniał się morski żywioł i nim człek słowa dotrzymał, to razem ze swoją załogą poszedł na dno podczas straszliwego sztormu.

Dzieci widziały, jak w kolejnych latach klon marniał w oczach. W końcu zapadła w wiosce decyzja, że trzeba go ściąć, bo zaraz na kogoś spadnie i będzie tragedia. Przedtem jednak drzewo rozsiało dokoła o wiele więcej nasion, niż w poprzednich latach. Tylu “nosków”, wirujących w powietrzu, nie widzieli nawet najstarsi mieszkańcy. A Franz i Hilde mieli nadzieję, że może w przyszłości ktoś zdoła uratować przeklęty klon.

***

Poboczem brukowanej ulicy dreptała ubogo ubrana dziewczynka. Berliner Strasse była stosunkowo nową ulicą, wybudowaną, by zapewnić dojazd do niedawno powstałej cukrowni. Od czasu do czasu przejeżdżały nią automobile - najnowszy krzyk techniki, pojazdy kołowe, napędzane silnikiem parowym. Wciąż jednak wozy i dorożki ciągnięte przez konie były popularniejszym środkiem transportu, choć kwestią czasu było ich całkowite wyparcie przez nowocześniejsze pojazdy.

Greta szła poboczem, ściskając jakieś zawiniątko. Była już późna pora i chociaż latarnie gazowe rozświetlały mrok wieczoru, to i tak bezpieczniej by było, gdyby dziewczynka już wróciła do domu. Niestety, trzeba było najpierw odpracować swoje w cukrowni, a dzisiaj wypadła Grecie dwunastogodzinna zmiana do 18:00. Ta praca była jednym z głównych źródeł utrzymania jej rodziny, także nie było mowy o jej rzuceniu albo nie wypracowaniu normy czasowej - szefostwo było srogie i zwalniało bez wahania każdego, kto nie był wystarczająco wydajny.

Była umówiona z innymi dzieciakami po 18:00 pod ich ulubionym klonem. Od jakiegoś czasu ta roślina skupiała ich całą uwagę, a rodzice z pobłażaniem słuchali opowieści dzieci o gadającym drzewie. Chociaż tata Michaela zabronił synowi się tutaj bawić, jego zdaniem klon wyglądał na chory i któraś z gałęzi mogła się połamać pod bawiącymi się dziećmi.

Greta i reszta dzieci wiedziały, że drzewo naprawdę choruje. A Greta niosła w zawiniątku lekarstwo na jego chorobę.

Dużo czasu zajęło jej namówienie brata, by przywiózł jej trochę wody z morza. Dała mu nawet szklany słoiczek po jakimś lekarstwie, by miał w czym przetransportować rzeczoną wodę. Dla brata Grety to nie była trudna sprawa - służył w cesarskiej marynarce wojennej i przynajmniej raz w tygodniu wypływał ze Stettina na Bałtyk. Prośba siostry była dla niego jednak na tyle dziwna, iż najpierw myślał, że Greta stroi sobie z niego żarty. Potem jeszcze doszła kwestia ewentualnych dziwnych uwag kolegów lub przełożonych z wojska, widzących Marka spełniającego taką niedorzeczną prośbę. W końcu jednak trzy tygodnie wałkowania tematu przyniosły efekt i Mark dla świętego spokoju spełnił prośbę Grety.

A czasu było już niewiele. Klon naprawdę tracił pamięć, jego monologi, w których zawarł historię swojej klątwy i opisy cierpienia, jakie mu przyniósł brak pamięci swojego przodka, były coraz prostsze, jakby drzewu zaczęło brakować słów (podobnie miał dziadek Grety parę lat przed śmiercią, mówił jak trzyletni berbeć). Już na pierwszy rzut oka widać było, że drzewu coś dolega. Nawet dziwne istotki, będące “ustami” klonu, były jakby zmęczone i zmarnowane.

Gdy Greta dotarła do drzewa, reszta dzieciaków była już na miejscu. Johan niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, Emilia trzymała mocno za rękę swojego brata Bastiana.

- Masz ją? - zapytał się Grety Bastian

- Tak, w zawiniątku - odpowiedziała dziewczynka i po chwili pokazała reszcie małą szklaną zakorkowaną buteleczkę.

- I co teraz? - zapytał Johan.

- No... trzeba podlać tą wodą drzewo.

- Czyli co, na korzenie polać? Czy na pień? A może na liście?

- Drzewo pije wodę korzeniami... no to na korzenie.

- To podlewaj, szybko - nagle się wcięła Emilia.

Greta przytaknęła i odkorkowała buteleczkę.

- A to na pewno woda morska? - spytał podejrzliwie Johan.

- Mój brat by mnie nie oszukał - naburmuszyła się Greta.

- Zresztą jak chcesz, to sam spróbuj, zobaczysz, że jest słona.

- Eee, nie skorzystam z zaproszenia. No, to czyń honory - chłopak zapraszającym gestem wskazał na drzewo.

Greta podeszła do korzeni drzewa, reszta dzieci stała w bezpiecznej odległości od niej, nie będąc pewnymi, co się zaraz wydarzy. Dziewczyna pewnym gestem wylała wodę na korzenie klonu i czekała na efekt.

Na początku nic się nie działo. Trwało to kilka minut i już Johan otwierał usta, by powiedzieć, że wiedział, że to wszystko bujda. W tym momencie od drzewa dmuchnęło falą powietrza tak silną, aż dzieci musiały zrobić krok do tyłu, a mała Emilia aż usiadła na ziemi. Nim wystraszona dziewczynka zaczęła płakać, do uszu wszystkich doszedł znajomy głos drzewa, tym razem silny i stanowczy, brzmiący jak szum tysiąca liści wśród wichury. Głos ten wypowiedział tylko jedno słowo:

“DZIĘKUJĘ”.

“Nie ma za co” - pomyślała Greta. - “Oby w przyszłości ktoś uratował twojego potomka, tak my dzisiaj uratowaliśmy ciebie”.

***

- Która godzina?

- 14:46.

- No to zaraz powinien przyjechać autobus.

- Wczoraj się spóźnił kilka minut.

- Ale wczoraj był wypadek na rondzie Uniwersyteckim, mówili o tym w wiadomościach.

- Bez wypadków autobusy też się spóźniają.

- Zobaczymy... o, już jedzie.

Kasia i Michał byli bliźniakami, chodzili do tej samej klasy w szkole. Rodzice postanowili posłać ich do lepszej placówki, która jednak znajdowała się kilkadziesiąt minut jazdy autobusem dalej, niż ich rejonówka. Dlatego codziennie musieli czekać na tym przystanku na jedyny jadący w kierunku miejsca ich zamieszkania bus. Mieszkanie na Prawobrzeżu to nie przelewki.

To był już ich czwarty rok w tej szkole. W tym czasie zdążyli całkiem dobrze poznać Gumieńce - to na tym osiedlu znajdowała się ich szkoła. Tak przynajmniej wydawało się Kasi, bo Michał nie lubił zbaczać za bardzo z trasy szkoła-przystanek i nie był skory do zwiedzania okolicy. Także, gdy czasem trafili na dziurę w rozkładzie jazdy, to musieli czekać i po 20 minut. A pech chciał, że ich przystanek był położony chyba w najnudniejszym miejscu w okolicy. W pobliżu były tylko jakieś bloki mieszkalne i domy jednorodzinne; żadnych sklepów, parkingów, kiosków. Nawet wiaty przystankowej nie było, także okoliczni chuligani nie mieli gdzie prezentować swoich bohomazów.

No i ten klon, który z jakiegoś powodu budził zainteresowanie Michała. Nie to, by było to coś bardzo dziwnego. Michał zawsze taki był; spokojny, systematyczny, lubił zarówno rośliny, jak i zwierzęta. Miał swoje ulubione kwiatki doniczkowe w domu, no i świnki morskie. Obowiązkowo musiały być dwie, bo jednej śwince morskiej jest

smutno. A Kasi w ogóle nie interesowały takie rzeczy, wolała biegać, skakać, wszystko robić jak najszybciej, by zdążyć się jeszcze dzisiaj pobawić, obejrzeć jakiś serial, pogadać z koleżankami na Skype. Szkoda jej było marnować czas na jakieś gryzonie, a pielęgnowanie chwastów było przerażająco nudne.

Chociaż byli bliźniętami, to charaktery mieli skrajnie różne. Nie jest to nic nowego i wielokroć zdarza się w rodzeństwach. I, podobnie jak w innych przypadkach, te różnice powodowały spięcia między nimi.

- O co ci chodzi z tym drzewem? - spytała się Kasia Michała, gdy już rozsiedli się w autobusie.

- Zawsze pod nim stajesz, jak czekamy na autobus.

- No i co z tego?

- To z tego, że to dziwnie wygląda! To drzewo nawet nie rośnie na przystanku, tylko obok niego, na jakimś podwórku!

- No i? Przecież tam nie ma furtki, każdy może przez nie przejść.

- Wiem, wiedzą to też okoliczne żule, które czasem urządzają sobie libacje w pobliskich krzakach! Jeszcze ktoś pomyśli, że masz coś z nimi wspólnego!

- Przecież to nieprawda! Poza tym, nie obchodzi, co sobie myślą o mnie obcy ludzie.

- A co, jeśli ty i ci obcy ludzie macie wspólnych znajomych i coś im nagadają?

- Akurat! Którym moim znajomym mieliby nagadać? Zresztą, moi koledzy to nie są takie plotkary jak te twoje koleżanki i nic by nie wygadali!

- Ja przynajmniej mam dużo koleżanek, a ty ilu masz kolegów? Antka, Tomka i kogoś jeszcze?

- Nie liczy się ilość, tylko jakość!

- Każdy piwniczak tak mówi!

- Nie jestem piwniczakiem! A ty jesteś lambardziara!

Obrażone rodzeństwo w ciszy pokonało resztę trasy autobusem do domu. Michał zastanawiał się, czy nie przesadził - usłyszał tę “lambadziarę” niedawno od ojca, gdy ten gadał przez telefon, ale chłopiec nie był pewien znaczenia tego słowa. Kasia też bardziej była zaintrygowana tym słowem, niż obrażona, nie było jednak szans, by przyznała się do tego bratu.

“Ona ma rację” - pomyślał Michał. - “Coś dziwnego jest z tym klonem. Zawsze, jak czekamy na autobus, to mam wielką ochotę stanąć pod nim, oprzeć się o niego. Może nawet na niego wejść? A potem, jak przyjeżdża autobus, to mi trochę smutno, że muszę iść. Podobnie miałem ze świnkami morskimi, jak je dostałem - też nie chciałem wychodzić do szkoły, by nie zostawiać ich samych. Ale ze świnkami mi przeszło, a z tym drzewem ciągle tak samo! Prawie 4 lata...! Chociaż, może to przez te bruzdy, które ostatnio na nim zauważyłem? Muszę jutro zrobić im zdjęcie, pokażę je pani od biologii, może będzie wiedziała, co dolega temu drzewu”.

W tym samym czasie Kasia myślała o tym, który serial na Netflixie dzisiaj zacznie oglądać. Wystarczyło jej jednak jedno zerknięcie na brata, by całe jej myśli zaczęło zaprzątać jedno drzewo - ten głupi klon z przystanku.

“To wszystko wina Michała! Przez niego ja też zaczynam przejmować się tym próchnem!”.

- Hmm, ciężko powiedzieć, co dolega temu drzewu. Na pewno coś jest z nim nie tak, ale musiałby rzucić na to okiem jakiś specjalista. Niestety, botanika nie jest moją mocną stroną.

- A wie pani, gdzie mogę znaleźć jakiegoś specjalistę?

- Możesz wysłać maila ze zdjęciem drzewa do ZUKu, tam pracują ludzie, którzy zawodowo zajmują się takimi sprawami. Chociaż... mam pewien pomysł. Podeślę zdjęcie mojemu znajomemu, który zna się na drzewach i dam ci znać Michale, jak mi odpowie. A do tego czasu lepiej uważajcie w okolicy tego klonu. Może być spróchniały od środka i stanowić zagrożenie.

- Dobrze, proszę pani. Dziękuję za pomoc.

Rozmowa z nauczycielką biologii przebiegła lepiej, niż chłopiec się tego spodziewał. Teraz pozostało czekać na następną lekcję biologii i liczyć na to, że rzeczony znajomy zainteresuje się tematem.

Dzisiaj rodzeństwo wyszło trochę później ze szkoły, także gdy znaleźli się na przystanku, to mieli zaledwie 2 minuty do przyjazdu autobusu. Michał od razu podbiegł do drzewa i wnikliwie przyglądał się tajemniczym zmianom na roślinie, które pokazał nauczycielce. Kasia nawet tego nie komentowała, tylko pokręciła głową z dezaprobatą.

- Michał, chodź, autobus już jedzie!

- Co? - spytał chłopak, jednocześnie gmerając palcem w uchu.

- Autobus jedzie głucholu!

- Aaa, już idę!

Gdy już usiedli w pojeździe, chłopak wyglądał na lekko zdezorientowanego.

- Dziwne... gdy stałem przy tym drzewie, to słyszałem jakieś brzęczenie... jakby gdzieś blisko latała chmara much...

- Może na tym klonie jest jakieś gniazdo os?

- Niee, to chyba nie to... ty też byś przecież słyszała.

- No to może ci już na mózg padło od tego drzewa?

- ...

- No tak, nie powiesz mi, że to normalne, tak się interesować jakimś klonem.

- No bo on jest jakiś dziwny!

- Ty też jesteś dziwny Michał. Także pasujecie do siebie.

- ..."Nie ma sensu z nią dalej gadać. Będzie się tylko śmiała".

Ale prawda była taka, że Kasia przejmowała się swoim bratem. No i też słyszała ten szum, ale z jakiegoś powodu nie chciała się do tego przyznać.

Po kolejnej lekcji biologii nauczycielka poprosiła Michała, by ten został na chwilę po lekcji.

- Odezwał się do mnie ten znajomy, o którym ci mówiłam - pan Bartek. Prosił, byś podał lokalizację tego drzewa, bo bardzo go zaintrygowało to zdjęcie. Chłopiec przekazał nauczycielce, przy którym przystanku rośnie drzewo. Ta chwilę coś pisała na smartfonie.

- O której dzisiaj kończycie lekcje?

- Mamy jeszcze matematykę i polski... to o 13:30.

- To możliwe, że spotkacie pana Bartka, jak będziecie na przystanku. Akurat dzisiaj bada drzewa w parku przy ul. Krakowskiej i pisał, że potem podjedzie obejrzeć ten klon.

- Super, bardzo dziękuję pani za pomoc!

Michał był bardzo ucieszony, że klonem zajmie się jakiś fachowiec. Liczył na to, że zdiagnozuje on, co dolega drzewu i pomoże tej roślinie. Kasia słyszała całą tę rozmowę. Też się cieszyła - nie tyle z powodu rośliny, co bardziej dlatego, że może wreszcie jej brat przestanie się tak dziwnie zachowywać. Chociaż nie ma co ukrywać, fajnie by było, gdyby nie musieli ścinać tego drzewa.

Gdy znaleźli się na przystanku, pan Bartek już tu był. Miał ze sobą komputer, a na pniu klonu zapiął pas z jakimś urządzeniem. Michał podbiegł do mężczyzny i się mu przedstawił, Kasia poszła w jego ślady, ale potem trzymała się z boku, tak by było widać, że cała sprawa ją niespecjalnie interesuje.

- No tak, Małgosia, znaczy się pani Wieniawska mówiła, że mogę was spotkać. Miło mi, dziękuję, że zainteresowaliście się tym drzewem.

- Już pan wie, co dolega klonowi? - spytał z nadzieją w głosie Michał.

- Niestety nie wiem. Na skanach wszystko wygląda ok, nie widać, by gniło od wewnątrz, czy coś w tym stylu, a skaner na pewno dobrze działa. No ale gołym okiem można dostrzec jakieś dziwne zmiany, obumierania - mężczyzna spojrzał wymownie na bruzdy. - Nie wiem, co to jest.

- I co będzie dalej z drzewem?

- Póki co będzie dalej rosnąć - pan Bartek wzruszył ramionami. - Muszę je zgłosić do ZUKu, pewnie za jakiś czas podeślą specjalistów, przebadają drzewo jeszcze raz i zdecydują, co z nim zrobić. Ale nie będę was oszukiwał - jeżeli klon będzie tak dalej niszczał, to prędzej czy później trzeba będzie go ściąć. Jest przy przystanku, dużo ludzi tutaj chodzi, gdyby miał się złamać - na przykład podczas wichury - i na kogoś spaść, to lepiej temu w porę zapobiec.

Chociaż Michał spodziewał się takich informacji to i tak ciężko mu było ukryć zawód. Po Kasi nic nie było widać - w końcu co ją obchodziło jakieś drzewo - i dalej leniwie przeglądała internet na smartfonie, choć w głowie się jej kotłowało na samą myśl o tym, jak Michał teraz będzie wałkować temat klona. “Głupi badyl, teraz Michał będzie próbował go za wszelką cenę uratować!”.

Pan Bartek zauważył zawiedzioną minę chłopaka i dodał po chwili:

- Nie ma co się martwić na zapas. Z reguły ZUKowi zajmuje dużo czasu podjęcie takiej decyzji, poza tym na pewno na miejscu tego klona posadziliby innego. A tak w ogóle to nie wiadomo, czy zetną to drzewo. No nic, co mogłem sprawdzić, to sprawdziłem. Ja się zwijam, praca czeka. Gdybym się czegoś dowiedział, to dam wam znać przez

panią Wieniawską - mężczyzna pomachał dzieciakom, spakował sprzęt do auta i odjechał z podwórka obok przystanku. Niecałą minutę później przyjechał autobus i rodzeństwo do niego wsiadło. Kasia widziała po minie Michała, że ten jest zamyślony. “Pewnie już myśli, jak pomóc temu chwastowi”.

Minęło kilka dni. Żadnych wiadomości od pana Bartka nie było, a - na szczęście dla Kasi - Michał nie mógł znaleźć wymówki, by poświęcić klonowi więcej czasu - autobusy w tym tygodniu wyjątkowo punktualnie przyjeżdżały. Jednak w poniedziałek pan wuefista zaniemógł i Michał mógł pojechać wcześniej do domu... albo poczekać na Kasię, która miała normalnie lekcję.

Dziewczyna kompletnie się nie zdziwiła, gdy godzinę później zobaczyła swojego brata, przy wiadomym przystanku, pod wiadomym drzewem. Michał wyglądał... dziwnie. Kucał przy pniu klonu i w coś intensywnie się wpatrywał.

- Michał, wszystko z główką w porządku? Słoneczko ci nie przygrzało?

- Ćśśś, cicho bądź! Albo chodź tu!

- Nie wiem, czy chcę stać obok ciebie, zachowujesz się jak świr.

- No podejdź tu na chwilę, proszę. Jeżeli ty też to zobaczysz, to oznacza, że nie mam omamów.

Kasia westchnęła i kucnęła przy bracie. Patrzyli na pień klona przez jakąś minutę.

- O, zobacz! widzisz to co ja?!

- No widzę pień drzewa.

- No ale spójrz na te bruzdy! Czy one się nie ruszają?!

- Michał, ty chyba serio masz gorączkę. Jak ta kora miałaby...POMÓŻCIE MI

Głos był wyraźny, choć brzmiał kompletnie nieludzko - jak szum miliona liści. A Kasia mogłaby przysiąc, że widziała także usta, wypowiadające to zdanie. Były na pniu drzewa. Dosłownie kilka sekund później na przystanku pojawił się autobus.

- Widzisz siostra?! Miałem rac... - Michałowi nie udało się dokończyć zdania, bo Kasia złapała go za rękę i wręcz porwała do autobusu - chłopak myślał, że zaraz mu wyrwie ramię ze stawu. Gdy już siedzieli w pojeździe, zorientował się, że jego siostra ma przerażone spojrzenie.

- To przez ciebie Michał... oszaleliśmy.

Kasia nie odzywała się do brata przez całą drogę autobusem. Dopiero wieczorem w domu zaczęła się normalnie zachowywać. Jednak gdy tylko Michał próbował poruszyć temat drzewa, ta mu stanowczo przerwała. Nie chciała o tym rozmawiać. Sam Michał miał mieszane uczucia. Z jednej strony spotkało ich coś BARDZO DZIWNEGO. Tak dziwnego, że gdyby powiedzieli o tym komukolwiek z dorosłych, to nikt by im nie uwierzył - prędzej wysłano by dzieciaki na badania psychiatryczne. Mimo to chłopak miał pewność (choć sam nie wiedział, skąd się bierze to uczucie), że klon naprawdę potrzebuje pomocy. “Spróbuję jutro to nagrać telefonem, zobaczymy, czy się uda. Pewnie bym to zrobił dzisiaj, gdyby nie moja droga siostra”. Tej nocy Kasia nie spała dobrze.

Na nagraniu jednak nie było nic widać ani słychać. A Michał twarz - a raczej same “usta” - widział dalej. Padały także nowe słowa; coś o wodzie, pamięci... i o śmierci.

Michał sam był pod wrażeniem tego, jak spokojny był wobec tego zjawiska. W drodze ze szkoły myślał, że spanikuje, że logiczna część jego mózgu stwierdzi, że to jest zbyt nienormalne - i ewakuuje się. Tymczasem, choć usta były tak samo widoczne, a słowa tak samo wyraźne, to chłopak wręcz odczuwał spokój - co było dziwne w tej sytuacji. Natomiast Kasia to zupełnie inna sprawa.

Dziewczyna stała na drugim końcu przystanku - możliwie jak najdalej od drzewa - i bawiła się telefonem. A raczej starała się bawić, mimo wszystko jej uwaga wciąż wracała do brata... i tego przeklętego drzewa. Bo Kasia nie uważała siebie i Michała za wariatów, chociaż oboje widzieli gadające drzewo. Ona wiedziała, że ten klon naprawdę potrzebuje ich pomocy - i to ją tak naprawdę przerażało - ta dziwna, nieuzasadniona niczym sensownym świadomość.

Michał po paru minutach kucania przy drzewie ponownie wyciągnął telefon i coś na nim pisał. Robił to aż do przyjazdu autobusu. Potem, jakby nigdy nic, wsiadł za siostrą do pojazdu. Pan, który stał z dziećmi na przystanku, był troszkę zdziwiony zachowaniem chłopaka - wpatrywanie się w drzewo i jednoczesne pisanie na telefonie to niecodzienne zajęcie. “No cóż, to pewnie jakiś młody artysta”.

- Kasia...

- ...

- Ja wiem, że to wszystko jest dziwne, ale to drzewo powiedz...

- Dziwne?! Chyba po...

- Ciszej, jesteśmy w autobusie.

- Czy ty w ogóle słyszysz, co wygadujesz? Prowadzisz rozmowy z jakimś klonem, jakby nigdy nic, a czepiasz się mnie, że krzyczę w autobusie!

- No... masz rację. To pogadamy o tym w domu.

- A o czym mielibyśmy gadać? Co interesującego powiedziało ci to drzewo?

- Nie śmiej się! Ale... eee... w sumie powiedziało mi coś ciekawego. Pewnie też byś to usłyszała, gdybyś dała mu szansę.

- Wolę jednak chociaż udawać, że nie jestem wariatką.

Po obiedzie Michał pojawił się w drzwiach pokoju Kasi.

- Masz chwilę?

- Jeżeli znowu chcesz gadać o tym drze...

- To na ten temat, ale masz, sama zobacz - Chłopak szybko rozłożył przed siostrą kartkę, nim ta zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- To chyba jakaś zagadka, ale nie jestem pewien... Nie wszystko zrozumiałem, bo niewyraźnie mówiło...

- No tak, bo DRZEWA ZAWSZE WYRAŹNIE MÓWIĄ, PRAWDA?!

- Dobra, już nie krzycz! Ja wiem, że lubisz takie zagadki, udawaj, że nie wiem, usłyszałaś ją w telewizji.

- Po co miałabym okłamywać sama siebie?!

- By uniknąć brutalnego zderzenia z rzeczywistością - Kasia była zaskoczona ripostą

brata, Michał z reguły wszystko brał na serio, a “dystans” w jego słowniku oznaczał tylko i wyłącznie odległość, jaką musi pokonać na sprawdzianie na wuefie. I to był dobry ruch, zaskoczenie pozwoliło dziewczynce na chwilę zapomnieć o pochodzeniu zagadki i się na niej skupiła.

- Woda, która dla jednych jest domem, a dla innych grobem... życia nie ratuje, choć wiele w niej życia... są bogactwa oraz męka i śmierć... Michał?

- Tak?

- Czy ty jesteś debilem?

- ...Co?!

- Przecież to banalna zagadka. Chodzi o wodę morską.

- ...Jak ty to to zrobiłaś?!

- Co?

- No że tak szybko ja rozwiązałaś!

- No w morzu jest dużo ryb i innych stworzeń i większość z nich umiera w morzu... dlatego dom i grób. Życia nie ratuje, bo się nią nie napijesz. A bogactwa to wiadomo, jakieś zatopione skarby, czy same ryby, jak ktoś żyje z połowu. A mękę i cierpienie przeżywa każdy rozbitek.

- ...Czyli potrzebujemy wody z Bałtyku.

- Do czego?

- By uratować klon!

Rodzice już dawno im powiedzieli, że w tym roku, na początku lipca, jadą wspólnie nad morze. Ale do tego czasu zostało kilka miesięcy i pytanie brzmiało: czy drzewo do tego czasu przeżyje?

Przez następne kilka tygodni Michał nie interesował się niczym innym poza wiadomym klonem. Oczywiście ani on, ani Kasia nie powiedzieli nikomu innemu o tym, co do tej pory przeżyli. Dziewczyna powoli akceptowała fakt, że obcują ze zjawiskiem paranormalnym i nadmierne rozmyślanie nad tym nic nie da. Nawet zaczęła towarzyszyć bratu przy jego ciągłych obserwacjach.

- A zauważyłaś, że te jego “usta” to tak naprawdę setki jakichś małych istot?

- Wolałabym jednak tego nie wiedzieć.

- Wszystkie są skrzydlate i mają oczy jak ważki! Ale nie wyglądają na inteligentne.- Ciszej Michał, bo jeszcze ktoś cię usłyszy i pomyśli, że masz problem z używkami.

- Szkoda, że nie można im zrobić zdjęcia, byłbym wtedy sławny! Uczeń, który odkrył nowy gatunek...

- Wiesz dobrze, że żadne z nas nie będzie z tego powodu sławne, a wręcz możemy mieć problem, gdyby ktoś się zainteresował twoimi dziwnymi zachowaniami.

- Eee tam. Byle do lipca i uratujemy ten klon. Kasia średnio lubiła rozmawiać z Michałem na ten temat. Tym bardziej, że im dłużej przebywała w pobliżu klonu, tym wyraźniej to wszystko widziała i słyszała. Od dawna wiedziała o tych malutkich skrzydlatych istotach, co wcale jej nie uspokajało.Byle do lipca.

Pod koniec maja wyraźnie było widać, że drzewo jest słabsze - wolniej kwitnęło i miało mniejsze liście. Było to widać szczególnie na tle drugiego klonu, który rósł kilkadziesiąt metrów dalej. Pojawili się także jacyś ludzie w żółtych kamizelkach, którzy najpierw oglądali roślinę przy przystanku, a potem robili jakieś pomiary. Kasia i Michał słyszeli fragmenty rozmów tamtych, gdy czekali na autobus.

- Dziwne jakieś te zmiany, no ale coś mu wyraźnie dolega.

- Wszystkie pomiary w porządku, nie widać, by ktoś je nawiercał albo truł.

- Inne drzewa nie mają żadnych objawów, także to nie jest choroba zakaźna.

- Będzie roboty, tuż przy przystanku i blok obok, ładnych parę dni cięcia.

- Poczekamy do wakacji, ruch mniejszy, to i drzewa łatwiej będzie się pozbyć.

Pracownicy ZUKu namalowali na klonie jakiś symbol farbą w sprayu. Gdy dzieci wróciły do domu, Michał poszukał informacji o tym symbolu w internecie. Oznaczał on drzewo do ścięcia.

Michał chciał jak najszybciej wakacji. Nie tylko dlatego, że mógł wreszcie odpocząć. Nie miał już ochoty stać na przystanku i czekać na autobus powrotny do domu. Klon... był już męczący. Widać i słychać było, że z drzewem jest coraz gorzej. Coraz częściej się powtarzało, nie mówiło już nic nowego. Tylko o tym, że przodek jego przodka został przeklęty przez “mędrca” (Michał nie znalazł na ten temat żadnych wiarygodnych informacji) i że musi być ono podlane wodą morską, bo inaczej “utraci na zawsze pamięć przodków” (czymkolwiek ona była). Plus do tego wielokrotne “proszę”, “błagam” i inne zdania o podobnym znaczeniu. Michał wiedział, że drzewo jest

zdesperowane. Ale to było już męczące. I nie mógł o tym nikomu powiedzieć. Dobrze, że chociaż Kasia rozumiała jego ból i razem z nim stała na skraju przystanku, możliwie jak najdalej od drzewa.

- Tato, a może pojedziemy dzisiaj sprawdzić, jaka jest woda w morzu?

- Kasiu no co ty, za niecały miesiąc jedziemy do Miedzyzdrojów. Poza tym i tak nie mamy na to czasu, ja muszę jutro wstać na 5:00 do pracy.

- Aaa, to szkoda tato...

Nareszcie nadszedł koniec roku szkolnego. Kasia Z Michałem nie mieli jeszcze nigdy tak nerwowego początku wakacji i po raz pierwszy wyczekiwali powrotu z wyjazdu bardziej, niż samego wyjazdu. Oboje z tego samego powodu.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Michał, gdy stanęli na plaży, było wyciągnięcie plastikowej butelki po coli i napełnienie jej wodą morską. Rodzice byli trochę zdziwieni tym faktem, ale nie pytali. Kasia zrobiła to samo, ale bardziej dyskretnie. To było na wszelki wypadek, gdyby Michał zgubił butelkę albo jej zapomniał.

W Międzyzdrojach było fajnie. Chociaż nie ma co się oszukiwać, byłoby lepiej, gdyby nie ten przeklęty klon. Michał często się zastanawiał, czy w tym samym czasie na Gumieńcach w Szczecinie pracownicy ZUKu nie ścinają pewnego drzewa. A Kasia się zastanawiała, kiedy jej brat zauważy, że zachowuje się dziwnie jak na dziecko na wakacjach. A rodzice się zastanawiali, co tak rozpraszało uwagę dzieci.

Była połowa lipca, kiedy wrócili do Szczecina. Byli umówieni z kolegami i koleżankami z klasy na wypad do kina. Tak przynajmniej powiedzieli rodzicom i musieli się potem

nieźle nagimnastykować, gdy tata zaoferował im podwózkę. W końcu padło, że z częścią znajomych mieli się spotkać w autobusie, chociaż po minie ojca było widać, że nie do końca to go przekonało. Michał i Kasia jechali teraz autobusem na wiadomy przystanek i każde z nich wiozło ze sobą butelkę z wodą z Bałtyku.

Michałowi spadł kamień z serca, gdy zobaczył, że drzewo cały czas stoi i nie widać po nim, by ktoś zaczął je ścinać. Jednocześnie jednak klon wyglądał dużo gorzej niż przed początkiem wakacji i wiadome było, że kwestią dni jest pojawienie się panów z piłami. Liście na drzewie już się przebarwiały, chociaż był środek wakacji. Gdy tylko autobus się zatrzymał, chłopak wyskoczył z pojazdu i niemal w biegu odkręcił nakrętkę od butelki. Kasia się tego spodziewała i dotrzymała bratu kroku.

Po wyjściu z pojazdu wręcz uderzył ich szum-mowa drzewa. Choć roślina marniała, jej dziwny głos nabierał z czasem siły i obecnie Michał z Kasią nie słyszeli nic innego, poza “POMÓŻCIE MI PROSZĘ LUDZKIE ISTOTY TRACĘ PAMIĘĆ PRZODKÓW WODY CO ŻYCIA W NIEJ WIELE ACZ ŻYCIA NIE RATUJE”... Dzieciaki jednak dzielnie zignorowały upiorny lament agonii drzewa. Minęli paru przechodniów, którzy także wysiedli z autobusu (po dorosłych absolutnie nie było widać, by słyszeli cokolwiek dziwnego). Przy drzewie Michał błyskawicznie przechylił i ścisnął butelkę, woda morska poleciała w kierunku pnia.

No i nic się nie stało.Dosłownie, woda padając na korę drzewa, błyskawicznie znikała i nie zostawał po niej nawet ślad. Rodzeństwo w osłupieniu patrzyło na to zjawisko. Po wylaniu całej zawartości butelki, Michał zawołał do siostry:

- Dawaj swoją wodę!

- Skąd wiesz, że też mam?

- Zauważyłem jak się pakowałaś, nieważne! Dawaj!

Kasia szybko odkręciła swoją butelkę i także wylała jej zawartość na klon. Po zetknięciu z drzewem ciecz znowu jakby znikała albo jakby ją bardzo szybko wchłaniało. W tym czasie ogłuszający szum ustał. Gdy butelka Kasi została opróżniona, na chwilę nastała cisza, a po paru sekundach do uszu dzieci doszło potężne, pełne ulgi westchnięcie i jedno słowo: “DZIĘKUJĘ”. Dziwne owady-istoty, tworzące “usta” klonu gwałtownie rozproszyły się na wszystkie strony i uleciały w dal. Oczywiście widzieli to tylko Kasia i Michał.

- Panie Bartku, wezwałem pana, bo potrzebuję pomocy fachowca.

- A o co chodzi?

- Pamięta pan to drzewo? Zgłosił je pan do nas kilka ładnych miesięcy temu.

- Hmm, a, kojarzę. Dostałem o nim informacje od znajomej.

- No i wysłał do nas wraz ze zgłoszeniem dokumentację zdjęciową.

- No tak, takie są procedury.

- No i na tych zdjęciach widać zmiany, które dotknęły drzewo i które pana zaniepokoiły.

- No tak.

- A widzi pan je teraz na tym drzewie? - Bartek chwilę się przyglądał klonowi.

- Nie, nic nie widzę.

- Jak pan myśli, co to może być? Już mieliśmy umówioną ekipę do ścięcia, ci przyjeżdżają na miejsce i dostaję od nich telefon z pytaniem, które drzewo mają ściąć, bo to zaznaczone na mapie jest zdrowe. A byłem tu jeszcze 2 tygodnie temu, widziałem te bruzdy i usychające gałęzie! O co tu chodzi, doszło do jakiegoś cudownego ozdrowienia rośliny?

- Wie pan, drzewa czasem tak mają, jakby zapadały w jakiś letarg i się gorzej rozwijały... a potem gwałtownie wzrastają i się regenerują.

- No ale tyle zmian w ciągu dwóch tygodni?! Pracuję w zawodzie prawie 20 lat i nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Proszę mi zaufać, to nie jest nic dziwnego.

- No dobrze, skoro pan tak mówi...

- Zresztą widzi pan gołym okiem, jak to drzewo nagle pozieleniało. To potwierdza moje słowa.

- Niech będzie, wierzę panu na słowo. Czyli nie ruszać tego klonu?

- Absolutnie, to piękny okaz i szkoda byłoby go ściąć.

- No dobrze, to dziękuję za konsultację i nie zawracam już panu głowy.

Bartek się pożegnał, poszedł do auta i odjechał do domu. Po drodze głowę miał pełną myśli. “Pierwszy przypadek przeklętego drzewa w mojej karierze i od razu klątwa zdjęta, a nie wstrzymana! Miałem szczęście co do tych dzieciaków, że dali radę. Dobrze, że udało mi się kupić dla nich trochę czasu, wstrzymując ZUK, chociaż tyle

mogłem dla nich zrobić”. Inny samochód dosyć brzydko wepchnął się przed Bartka. Ten jednak się powstrzymał i nie trąbił klaksonem. “Niektóre rzeczy mogą zrobić tylko konkretni ludzie, nikt inny. Taka dziwna natura klątw”.

Słońce wisiało już nisko na nieboskłonie i oślepiało kierowców. Bartek założył okulary przeciwsłoneczne. “Ważne, że sprawa rozwiązana. Szefostwo będzie zadowolone”.

Kilka lat później klon przy przystanku autobusowym stał się lokalną atrakcją. Bardzo się rozrósł i przez to prezentował się niezwykle okazale, do tego każdego roku wypuszczał tysiące “nosków”, które wręcz zasypywały okolicę. O drzewie stało się głośno, gdy jakiś znany botanik - czystym przypadkiem - ujrzał je z okna autobusu, będąc na wakacjach w Szczecinie. Potem temat podłapały dzieciaki z okolicznej podstawówki i napisały tekst o klonie, który najpierw znalazł się w gazetce szkolnej, a potem na grupie “Gumieńce” na Facebooku. A dalej to już się rozniosło w internecie.

Wiele lat później, dorosły już Michał, zebrał parę garści “nosków” i posadził je u siebie w ogrodzie. Z jednego z nich wyrósł kolejny okazały klon. Kasia zrobiła podobnie, ale nigdy się do tego nie przyznała bratu.

Kłótnia wśród Platanów

Marcel Mroczek

Szum wśród konarów wzmógł się, gdy Trzeci Platan z Jasnych Błoni liściasto oznajmił, że to on jest najokazalszy ze wszystkich braci i sióstr Platanów.

- To nieprawda! – zachrzęścił Pierwszy Platan – To mnie najczęściej ludzie robią zdjęcia! To przy moim pniu się fotografują! Poza tym to ja stoję najbliżej fontanny, więc to mnie widzą jako pierwszego. Gdyby nie wrażenie, jakie robię na ludziach, nikt by nawet na was nie spojrzał!

- Bzdury szeleścisz! – powiedziała giętko Piąta Platanica – Spójrz na siebie! Od bliskości samochodów kora ci się łuszczy bardziej niż nam! Jeszcze kilka dekad, a będziesz wyglądał jak Brzozina z Parku Kasprowicza! Albo jak dalmatyńczyk! Cały w plamach! Wstyd, a nie drzewo!

Na te słowa pozostałe platany z jednej i drugiej alejki Jasnych Błoni zaśmiały się tak gromko, że ich włochate orzeszki poczęły spadać gęsto na spacerujących w dole ludzi. Co niektóre dzieci ucieszyły się na ten widok, biegając od jednego okrągłego owocu do drugiego i kopiąc je niczym piłkę albo kauczuk. Dorośli byli raczej zaniepokojeni tym nagłym drzewnym opadem, obawiając się, czy aby na pewno nie oberwą za chwilę w głowę i nabawią się guza.

- Uspokójcie się, proszę – powiedział Platan Szósty, a na dźwięk jego głosu małe stado gołębi wzbiło się w powietrze i przeleciało na dach Szpinakowego Pałacu – Na co te swary i kłótnie? Przecież wszyscyśmy z jednego posadzenia. Wszyscyśmy z jednego czasu. Czy naprawdę będziemy się ponownie spierali o to, które z nas najokazalsze? Te spory trwają już od kilku dekad!

- I nigdy tak naprawdę nie zostały rozstrzygnięte, Szósty! – zawołał Pierwszy Platan,

a dźwięk jego głosu zabrzmiał niczym łamana gałąź. – Chciałbym, aby ten spór miał swój finał. Dzięki temu każde z nas będzie mogło spokojnie przezimować.

- Racja! – zawołały Platany – Dojdźmy do porozumienia!

- Dobrze – obwieścił głębokim szumem Platan Szósty – A jak chcecie tego dokonać?

Na to pytanie wśród Platanów nastała cisza. Cisza tak dziwna, że aż obca drzewom i krzewom. Zdawałoby się, że nawet Wiatr, tak często obecny wśród konarów drzew, postanowił zaprzestać swej pracy i przysiąść na trawie, czekając na odpowiedź zielonolistnych.

- Jak chcecie tego dokonać?! – ponowił pytanie Szósty, widocznie zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi od swych braci i sióstr – Chcielibyście głosować za pomocą liści? Przecież to oczywiste, że każde z nas ma ich inną liczbę. Zresztą każde z was głosowałoby na siebie. Może wolelibyście ocenić, kto z was więcej widział i słyszał? To przecież też nic nie da, bowiem wszyscy razem jesteśmy świadkami człowieczej historii. W takim razie jak inaczej wyłonić zwycięzcę?

Cisza trwała nadal. Platany najwidoczniej bardzo się zastanawiały nad możliwą odpowiedzią. Wysilały swoje komórki, sięgające od wrośniętych głęboko w ziemię korzeni aż do samych czubków szaro-popielatych konarów. Spoglądały po sobie pytająco, wyszukując w korze brata lub siostry jakiejś podpowiedzi, niczym uczniowie na sprawdzianie, wypatrujący poprawnej odpowiedzi w kartce kolegi. Nikt jednak aż do zmierzchu nie odpowiedział Szóstemu. Gdy słońce poczęło chować się za horyzontem, a niebo zmieniło swe barwy z niebieskiego na jesienne, leniwie odezwał się Pierwszy.

- Może spytamy naszych sąsiadów? – odczekał chwilę, po czym niezdarnie zadał kolejne pytanie, a kilka liści spadło z jego gałęzi – Może zapytamy zwierzęta, krzewy lub nawet rzeźby, by pomogły nam rozstrzygnąć nasz spór?

Minęła dłuższa chwila nim Platany z Jasnych Błoni odpowiedziały Pierwszemu. Ludzie zdążyli już rozejść się do domów, księżyc zawitał nad Szpinakowy Pałac i tylko z oddali było słychać jakieś przejeżdżające spokojnie samochody. Zielona polana poczęła zasypiać.

- Tak – odpowiedziały cicho Platany – Pierwszy ma rację. Możemy spróbować.

- Kogo zatem pierwszego spytamy o ocenę? – zapytał Szósty, wnikliwie obserwując korę swojego drzewnego rodzeństwa w ciemności.

- Chłopca z harmonią – powiedziała giętko Piąta Platanica i wskazała długą gałęzią na rzeźbę, stojącą na tyłach Szpinakowego Pałacu. – On jest z nami najdłużej. Od początku widział, jak wzrastamy, jak ludzie nam się przypatrują i jak nas oceniają. Niech on wskaże zwycięzcę.

- Niech i tak będzie! – zaszeleścił szósty.

Nikt z ludzi zapewne nie zobaczyłby samotnego liścia lecącego ciemną nocą w stronę szarej rzeźby małego chłopca w kapeluszu. Był to list-zaproszenie. Chłopiec wiedział, że takim zaproszeniom nie można odmawiać. Zeskoczył z cokołu, odłożył swą kamienną harmonię na bok i popędził ile sił w ciężkich nogach do Szóstego. Jego małe stópki odciskały się na piaskowym podłożu alejek, zostawiając niecodzienny ślad. Podszedłszy do Platana ukłonił mu się nisko, zdjął kamienną czapeczkę i zapytał o powód zaproszenia. Platany, szumiąc i szeleszcząc, wytłumaczyły mu swój problem.

Chłopiec podrapał się w swą szarą główkę, zasępił, po czym sucho odpowiedział, a głos jego brzmiał niczym przesypywanie piasku z jednej ręki do drugiej:

- Strasznie mi przykro, ale nie wiem, które z was jest najokazalsze. Wszystkie dla mnie jesteście podobne. Wszystkie wspaniale ocieniacie alejki i sprawiacie, że ludzie przychodzą oglądać wasze kolory. Wszystkich was lubię tak samo. Gdyby nie wy, nikt by do mnie nie przyszedł, nikt nie zauważył. A tak mogę chociaż w ciszy grać swe ulubione melodie z przeszłości, jak jeszcze byliście ledwo drzewiątkami. Bez was ta trawa – i wskazał tutaj swą małą, kamienną rączką na pas zieleni – byłaby tylko trawą, a nie miejscem odpoczynku. Pamiętacie, jak w czasach wojny ludzie, zamiast wygrzewać się tutaj, urządzali walki? Jak samoloty, nie zważając na wasze piękne zielone liście i popielate gałęzie, lądowały z żołnierzami? Och, nawet nie wiecie jak wspaniali jesteście wszyscy naraz, a nie każdy z osobna.

- Och, to strata czasu! – zawołał Pierwszy, denerwując się i przerywając Chłopcu. – On nam nie pomoże. To był zły wybór, Piąta Platanico.

- Przepraszam, jeśli was uraziłem – powiedział Chłopiec – ale naprawdę uważam wasz spór za głupi.

- Sam jesteś głupi! – zawołały Platany.

- Wracaj na swoje miejsce, kamienny bachorze! Nie chcemy cię tu!

Chłopcu zrobiło się przykro, gdy wysokie na dwadzieścia metrów drzewa, poczęły krzyczeć i rzucać w niego swoimi orzeszkami. Mimo że był z kamienia, odczuł gniew drzew na swojej skórze, więc pobiegł alejką na swój cokół, złapał ciężką harmonię i począł grać smutną jak samotny głaz melodię z przeszłości, gdy był nowy

i podziwiany. Zazdrościł Platanom ich okazałości, wielkości i tego, że ludzie tak chętnie robią sobie z nimi zdjęcia.

- Khe, khe – zakaszlał Samochód, stojący na parkingu przy Dziewiątej Platanicy – To było bardzo, khe, khe, niełądne! Jestem od was dużo młodszy, ale dobrze wiem, że tak, khe, khe, nie postępuje się z przyjaciółmi.

- Co ty możesz wiedzieć o przyjaciołach, wstrętny spalinowcu? – oburzyła się Dziewiąta, grożąc gałęzią samochodowi.

- Oj, wiele, khe, khe, bardzo wiele – powiedziało groźnie auto, rozglądając się jasnymi reflektorami po parkingu. – Widzisz m o j e rodzeństwo? Moich stalowych braci i siostry? Ich różnokolorowe karoserie, gumowe opony i rury, khe, khe, wydechowe, których tak nie znosicie? Jesteśmy liczeni w całym mieście w tysiącach, nawet setkach tysięcy! A was ile jest, khe, khe?! Sto? Dwieście?

- Dwieście trzynaście! – wtórował głębokim szumem Szósty.

- Właśnie, ledwo dwieście trzynaście, khe, khe, trzy... Radziłbym więc doceniać tych, którzy doceniają was.

- On nie powinien mieć prawa głosu! – zakrzyknął gałęziście Pierwszy – Dziewiąta, zrzuć na niego trochę liści! Zasyp go, by się nie odzywał!

Dziewiąta Platanica już przymierzała się do ataku na Samochód, rozciągając swe konary niczym bokser ramiona na ringu, gdy nagle przerwał jej znienawidzony spalinowiec.

- Nie musimy się lubić, khe, khe, szacowne Platany, ale posłuchajcie i mnie.

Samochód skierował swe reflektory na platanową alejkę, rozłożył wycieraczki na znak pokoju i rozpoczął, stukając mechanicznie, metaliczny monolog – Nie ma wśród was najlepszego. Jesteście wspaniali jako grupa, jako cała, khe, khe, alejka. Myślicie, że uwielbiam wydychać z siebie spaliny? Khe, khe! Oczywiście, że tak! Gdybym ich nie wydychał, nie mógłbym żyć, podróżować. Skończyłbym na cmentarzysku samochodów, a wiecie, że dla mnie jest ono tak samo straszne, khe, khe, jak dla was tartak.

Na dźwięk słowa „tartak" nie tylko Platany, ale i pozostałe drzewa i krzewy z Jasnych Błoni poczęły się trząść niczym osika na wietrze. Mnóstwo liści zaczęło spadać na piaskową alejkę, przykrywając ją zielonym dywanem. Drzewa nie znosiły tego słowa. Wiedziały, że oznacza ono koniec ich swobodnego życia. Przestraszone oczy Platanów po chwili znów zwróciły się w stronę mówiącego Samochodu.

- Tak jak ja istnieję, by pomagać ludziom przenosić się, khe, khe, z miejsca na miejsce, tak wy istniejecie, by pomagać ludziom żyć! Nawet nie wiecie, jak zestresowany przez pracę jest człowiek, khe, khe, który mną kieruje. Szef nie daje mu chwili wytchnienia. Przyjaciele odzywają się rzadko. A żona, khe, khe, krzyczy na niego, że zbyt mało czasu jej poświęca. A wiecie, co widzi po powrocie z pracy? Was! Was – tak zielonych, tak spokojnych i tak miłych dla oka. Zazdroszczę wam, khe, khe, bo choć tyle czasu spędzam ze swoim człowiekiem, choć w tyle miejsc go zabrałem, nigdy, khe, khe, nie dałem mu tyle wytchnienia ile drzewa. A już zwłaszcza wasza gromada. Khe, khe! – odchrząknął mocno Samochód jakby to, co mówił, sprawiło mu ogromny dyskomfort. – Czy myślicie, że ludzie oceniają Was pojedynczo? Że przechadzają się wśród was, khe, khe, bo jest tu taki Pierwszy lub taka Trzecia, co to jest, khe, khe, najokazalsza?! Nie, absolutnie nie! A jeśli kłamię, khe, khe, niech Dziewiąta zrzuci na mnie swój największy

konar i niech skończę swój żywot na cmentarzysku, khe, khe, samochodów.

Platany popatrzyły po sobie lekko zaskoczone. Nie za często miały możliwość rozmowy ze spalinowcem. W ogóle za nimi nie przepadały, bo tylko utrudniały im drzewiastą pracę – oczyszczanie powietrza czy zdobywanie nowych terenów. Samochody z drzewami rzadko dochodziły do porozumienia, a tutaj takie zaskoczenie.

- Powiem wam szczerze, że sam jestem wam ogromnie wdzięczny.

- A za co jeszcze? – zawołała giętko Piąta.

- Że mnie ocieniacie. Nawet nie wiecie, khe, khe, jakie to straszne, będąc rozgrzanym niczym piec, odpoczywać na pełnym słońcu. A uwierzcie, że są w naszym mieście takie, khe, khe, przerażające, betonowe miejsca. Goręcej tam niż w hucie czy spalarni.

- Oszczędź nam, szacowny Samochodzie, z łaski swojej opisów – zaszumiał spokojnie Szósty.

- Mam nadzieję, że przemówiłem wam do, khe, khe, silników, czy co wy tam macie pod korą. Porzućcie te głupie spory, bo inaczej nie będziecie lepsi od ludzi.

Zakończył, a światła jego reflektorów poczęły powoli przygasać z wyczerpania. Platany wiedziały, że Samochód ma wiele racji. Że tak naprawdę ich spór jest zupełnie bezsensowny. Każde z nich, Platanów, było bardzo do siebie podobne – miało niemalże identyczne liście, korę, orzechy, ale mimo to w ich platanowych sercach wciąż tkwił ten sam drewniany konflikt. Po słowach Samochodu żadne z drzew się nie odezwało. Żaden nawet nie próbował poruszyć gałęzią, by nie zaognić konfliktu. Było to po myśli Szóstego, którego od kilku dekad męczył ten spór. Ucieszył się, że

do późnego ranka, gdy pojedynczy ludzie zaczęli pojawiać się z psami, pozostałe Platany postanowiły zamilknąć.

Niestety, pokój nie trwał jednak wiecznie. Każdego dnia, gdy zajdziemy na Jasne Błonia, możemy wśród platanowych liści usłyszeć niekończącą się kłótnię dwustu pięćdziesięciu trzech drzew, walczących o tytuł najokazalszego. Chyba już nawet samochody sobie odpuściły wtrącanie się w ten bezcelowy spór. Jednak na szczęście każdy z Platanów poszedł po rozum do głowy w innej kwestii. Co bardziej ciekawski człowiek, kierując się w stronę rzeźby Chłopca z harmonią, zauważy pewną nowość. Zazwyczaj samolubne Platany nie poświęcały innym mieszkańcom Jasnych Błoni choćby krzty zainteresowania, bez przerwy się przekrzykując i łając. Jednak ostatnimi czasy można zauważyć, że w fontannie u stóp Chłopca znajdują się platanowe liście, codziennie kolejne, ale tylko co bardziej wnikliwy obserwator, znający język drzew, zobaczy, że na każdym z nich napisano „Przepraszam”.

Za gryfią bramą

Grzegorz Tyliszczak

Kiedy dorosnę, będę wyższy od ciebie! - Napuszył się kolczasty kasztanek, wiszący na jednej z gałęzi swojej kasztanowej mamy.

Lekki jesienny wiatr zakołysał gałęziami dojrzałego kasztanowca, mamy rezolutnego kasztanka, zagłuszając chichot jego braci i sióstr.

Tego wam wszystkim życzę, moje dzieci - tubalnie odparła mama, tak, że wszystkie kasztany zamilkły. - Musicie jednak wziąć pod uwagę naszą pozycję - kontynuowała - teren wokół nas nie jest tak sprzyjający jak za dawniejszych czasów, choć przyznać trzeba, że nigdy za wiele przestrzeni tu nie było. Rośniemy na wzgórzu, za murem. Do tego teraz z każdej strony otacza nas beton i asfalt

Co to jest beton i asfalt? - Ciekawsko zapytał kasztanek. - I po co jest ten cały mur?

Nie wiem do końca czym one są - to pomysł ludzi. Asfalt i beton to twarde powierzchnie, przez które nie dociera do korzeni deszcz. Ponoć ułatwiają ludziom poruszanie się. A mur? Mury dzielą, określają, czyj jest dany skrawek ziemi.

A to ziemia nie jest nas wszystkich, a my wszyscy nie jesteśmy jej? - dopytywał dalej kasztanek - przecież tak kiedyś mówiłaś.

To prawda, ale ludzie chyba nie potrafią tego zrozumieć. Są mniejsi, więc ich wzrok nie sięga zbyt daleko poza otoczenie. Żyją też dużo krócej niż my, pewnie nie potrafią zrozumieć powiązań między nimi a całą Przyrodą, do tego potrzeba wieeelu sezonów kwitnień i opadłych liści.

Wiesz dlaczego tutaj postawili ten mur? Czym są w ogóle te dziwne stwory na jego ruchomej części? - ciekawość kasztanka nie przestawała dziwić mamy. A inne jej

dzieci, mimo że ciche, przysłuchiwały się rozmowie, chyba też chcąc dowiedzieć się od mamy jak najwięcej o miejscu, gdzie dojrzewały.

Widzicie ten ceglany budynek, który stoi na środku naszego wzgórza? Słyszałam, jak ludzie nazywają go kościołem. Starsze drzewa, które pamiętam ze swojego dzieciństwa, mówiły, że ludzie parę razy zmieniali jego kształt, a tu gdzie rośniemy, było miejsce nazywane cmentarzem. Przyjęło się wśród ludzi, że takie miejsca otacza się wysokim murem.

A co z tymi stworami? - dopominał się kasztanek?

Tak jak mówisz, ruchoma część muru nazywa się bramą. A nad nią widnieją gryfy. Ponoć to jakieś rzadko spotykane zwierzęta. Pewna jaskółka mówiła mi kiedyś, że tak naprawdę gryfy nie istnieją, a ludzie sobie je wymyślili. Nie wiem jednak, czy to prawda. Gryf jest też symbolem miasta, w którym żyjemy. To znów zasłyszałam od ludzi, rozmawiających ze sobą - kasztanek już zbierał się, żeby zapytać, po co w takim razie umieszczono gryfy na bramie, jednak mama zdążyła go uprzedzić - z tego co wiem, te stworzenia mają chronić miejsca, w których są umieszczone.

Czyli nas też chronią? Przed czym? - Tym razem kasztanek był szybszy.

Sama chciałabym to wiedzieć - mama odpowiedziała zamyślona. - Mam nadzieję, że nas również mają chronić. Przed ogniem, łamiącym gałęzie wiatrem i ludźmi, którzy krzywdzą nas i siebie wzajemnie.

Im więcej mówisz, tym mniej to wszystko rozumiem. Opowiadałaś nam, kiedy byliśmy jeszcze malutkie, że ludzie kładą ten cały asfalt, wycinają drzewa, mogą łamać im gałęzie. Ba, ponoć porywają nawet nas, kasztany, zanim wrośniemy w ziemię

i słuch po nas ginie. Brr - zatrząsł się kasztanek na samą myśl o tym, a mama zaszumiała ze zrozumieniem drobniejszymi gałęziami swojej korony - nie rozumiem jednak tego, że ludzie krzywdzą siebie wzajemnie. My drzewa tak przecież nie robimy. I dlaczego, kiedy to robią, cierpimy również my?

Mama zamilkła na dłuższą chwilę, a wiatr całkiem ucichł, jakby jej wtórował. Kasztanek, mimo że niecierpliwy, czekał aż mama odpowie.

Tak jak widzicie wokół - zaczęła - otaczają nas ludzkie wytwory. Oni potrafią wylać taki asfalt, zbudować ceglany budynek albo te ruchome metalowe pojazdy, które stoją w dużej liczbie za murem. Potrafią też zbudować rzeczy straszniejsze - głośne, błyskające i niszczące wszystko wokoło, często powodujące pożary. Kiedy ich używają, nazywają to wojną. Chyba same rozumiecie, moje małe kasztanki, że takie rzeczy mogą mocno nam i całej Przyrodzie, szkodzić?

Cichy szelest liści zagłuszył odpowiedź kasztanów, o ile jakakolwiek się pojawiła. Same wypowiedziane przez mamę słowa przerażały. Dostrzegając strach swoich dzieci, postanowiła je nieco uspokoić.

Wojny dawno nie było i nic nie wskazuje żeby miała niedługo nadejść. Ludzie też nie są tacy do końca źli, może nauczą się z czasem doceniać Przyrodę i konieczność dogadywania się ze sobą. Sama widziałam piękny gest między ludźmi, który może dawać na to nadzieję.

Opowiedz nam, opowiedz - chórem poprosiły kasztany, a mama nie kazała im długo czekać.

Podczas ostatniej wojny ceglany kościół częściowo zniszczono przy pomocy tych

potwornych rzeczy. Nasi bracia na wzgórzu też ucierpieli. Mi na szczęście nic poważnego się nie stało. Ludzie pomagali gasić pożary. Pomimo zniszczeń nadal gromadzili się w tym budynku. Po jednym z takich spotkań grupa ludzi wyszła z kościoła i dość długo się ze sobą żegnała. Jak gdyby nie mieli się już nigdy więcej spotkać. Kiedy się rozeszli, starszy tego zgromadzenia, którego nazywali pastorem, zamknął drzwi budynku, ale tym razem pozostawił w nich klucz. Widziałam, jak powolnym krokiem szedł w stronę bramy, po czym stanął, spojrzał na gryfy, obejrzał się dokoła na nas, drzewa tu rosnące, i powiedział: “Biorę Was na świadków. Zostawiam ten kościół z kluczem w drzwiach dla jego nowych, polskich wiernych. Gryfy, pilnujcie, żeby kościoła nic gorszego nie spotkało.” Jakby na potwierdzenie, nagły powiew wiatru rozchylił bramę, która zaskrzypiała doniośle. Człowiek stał jeszcze chwilę i odszedł. Nie widziałam go już nigdy później.

Co się potem działo? - nie wytrzymał kasztanek - Co z tym kluczem?

Klucz nagle zniknął, nikt z nas - drzew - nie widział kiedy. Musiało się to stać nocą, gdy odpoczywaliśmy. Kościół przez wiele zim stał pusty, ale w końcu inni ludzie zaczęli go odbudowywać, wstawiając też nowe drzwi. Potem znów zaczęli się w nim spotykać. Przy pierwszym takim spotkaniu dosłyszałam skrzypienie bramy, choć nie czułam w gałęziach wiatru. Wśród zebranych pojawił się nowy osobnik, podszedł do starszego zgromadzenia: “To od ostatniego niemieckiego pastora - powiedział niskim głosem - klucz do drzwi kościoła dla nowych wiernych”. Ludzie, podobnie jak my, byli zdumieni. Tym bardziej, kiedy włożono klucz do zamka nowych drzwi i okazało się, że do nich pasuje. Tknęło mnie coś, odwróciłam wzrok w stronę bramy. Inne drzewa nie chcą mi do tej pory w to uwierzyć, ale jednego z gryfów nie było na bramie! Spojrzałam znów na zgromadzonych ludzi - Jegomość, który przekazał klucz

nagle zniknął, wszyscy się za nim oglądali. Brama znów zaskrzypiała i kiedy spojrzałam na nią po chwili, gryf ponownie na niej tkwił.

Przez moment zrobiło się cicho. Kasztany musiały najwidoczniej przetrawić opowieść mamy. W końcu nie wytrzymał najbardziej niecierpliwy z nich.

Chyba rozumiem. Ludzie pokazali, że pomimo różnic, mogą dzielić się swoimi rzeczami - Mama potwierdziła delikatnym ruchem gałęzi - a gryfy im w tym pomogły? - dociekał nadal.

To już pozostanie gryfią tajemnicą - odpowiedziała tajemniczo, a brama lekko zaskrzypiała. Czy to z powodu wiatru, czy może z własnej woli?

***

Jesień trwała w najlepsze, wzgórze przy ul. Włościańskiej pokrywało coraz więcej opadniętych żółtych i czerwonych liści oraz... kasztanów. Po wyjściu z kościoła mała Ola zaczęła zbierać i układać bukiet kolorowych liści. Na ściółce pomiędzy nimi odnalazła dorodny kasztan.

Mamo! - zawołała. - Podaruję bukiet z liści i kasztanka mojej najlepszej przyjaciółce Nataszy. Może zabierze je do swojej babci na Ukrainie i posadzi tam kasztan, żeby urosło z niego takie piękne drzewo jak to. Na znak naszej wiecznej przyjaźni.

Jesienny wiatr jedynie lekko poruszył gałęziami dostojnej mamy-kasztanowca.

Czy ludzie mają korzenie?

Grzegorz Tyliszczak

Czy dziś jest ładny dzień? Czy na tyle pogodny, żeby usiąść w cieniu i posłuchać szmeru moich iglastych gałązek na wietrze? Może wśród szelestu usłyszysz moją opowieść?

Kim jestem? Jestem drzewem - Cisem. Mówi się o mnie, żem Pospolity. Owszem, moja rodzina jest dość liczna, ale żeby od razu pospolita? Nie jestem szczególnie rad z tego przydomku nadanego nam przez ludzi. Rzadko jednak go słyszę. Powinienem być chyba z tego powodu szczęśliwy, lecz odnoszę wrażenie, że ludzie coraz częściej w ogóle nie wiedzą jak się nazywam...

Skąd jestem? Nie pamiętam gdzie się urodziłem. Pamięć zawodzi w pewnym wieku. Pamiętam za to gdzie rosłem i... gdzie przyjdzie mi się zestarzeć. Kiedyś ludzie nazywali to miejsce Pommerensdorf, a obecnie, z niesionych na wietrze rozmów, da się usłyszeć nazwę Pomorzany. Nie tylko nazwa jest inna, wiele rzeczy zmieniło się w miejscu, w którym żyję. Pamiętam, że kiedy przeniesiono mnie ze szkółki i zasadzono tu, ludzie w okolicy byli jacyś zamyśleni, smutni, czasem nawet płakali. Dzięki naszej korzennej sieci, przez którą my - drzewa - rozmawiamy ze sobą, nawet będąc od siebie bardzo oddalonymi, dowiedziałem się, że ludzkie zachowanie było takie, ponieważ chowają tutaj swoich zmarłych.

Nie do końca rozumiałem wówczas powód ich smutku. Dla mnie, młodego drzewa, oczywistym było, że to co w nas obumiera, trafia do ziemi i zasila nasze korzenie. Nasi starsi i przodkowie są więc tak naprawdę nadal z nami. Przez korzenną sieć przekazano mi później, że ludzie przecież nie mają korzeni i to połączenie nie zachodzi tak jak u nas. Takie wytłumaczenie mi wystarczało - aż do pewnego momentu. I pewnego małego człowieka.

Nazywała się Martha. Wiem to na pewno, bo mi się przedstawiła. W ogóle bardzo dużo do mnie mówiła, jak nikt przedtem. To od niej dowiedziałem się, że żyję na cmentarzu w Pommerndorf, że to, co od niedawna tak hałasuje od zachodu to automobile i tramwaje, a to, co jeszcze głośniej hałasuje, tym razem w dolince na północy, nazywa się pociągami. Powiedziała też, że cmentarz ma być zmniejszony od południa, bo szpital się rozbudowuje. Trudno mi to było wszystko pojąć, po prostu akceptowałem jej słowa, które często potwierdzała nasza korzenna sieć. Jednak nie te jej opowieści były najczęstsze. Najwięcej mówiła o swojej rodzinie, przede wszystkim o dziadku. Tak naprawdę przychodziła tu do niego, nie do mnie. Powiedziała mi jednak, że woli myśleć, że dziadek żyje we mnie, skoro rosnę tuż nad jego grobem. Tego w ogóle nie rozumiałem i sądzę, że ona też nie, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo chyba oboje lubiliśmy ze sobą rozmawiać. Ona mówiła, a ja szumiałem kojąco gałązkami i słuchałem.

Opowiadała o swoich codziennych przeżyciach - o łapaniu kur w domowym gospodarstwie, zbieraniu jajek, konfilktach z rodzeństwem, skargach do mamy, o tym Willim z klasy, który ciągnął ją za włosy i był głupi. Często wspominała swoje przygody z dziadkiem.

Pamiętasz? Zabrałeś mnie kiedyś na przejażdżkę konnym wozem do Güstow. Nagle zaczęło padać i schroniliśmy się pod dachem jednego z gospodarzy, a on nas zaprosił do siebie i poczęstował gorącym mlekiem. Potem i tak zachorowałam, bo przemokłam, a babcia na ciebie nakrzyczała, że niepotrzebnie mnie zabierałeś. Ja tak nie uważam, to była najfajniejsza wycieczka.

A wtedy, jak gotowaliśmy zupę i wsypałam za dużo soli? Tato zjadł raptem

jedną łyżkę i nie chciał dalej, ale powiedziałeś mu, że skoro to pierwsza zupa gotowana przez jego córkę, to musi zjeść cały talerz. Zrobił się czerwony na buzi, jednak zjadł.

Albo tego lata, pomagałam ci na polu, a ty mi potem kazałeś zebrać polne kwiaty. Uplotłeś mi z nich piękny wianek, nawet mama takiego nie potrafi pleść. Mam go nadal, jest zasuszony, stracił trochę płatków, ale nadal jest cały.

Wiele zebrało się tych codziennych historii, niektóre z nich słyszałem wielokrotnie. Chyba lubiła do nich wracać. Nawet gdy minęło wiele wiosen i jesieni. Nawet po tym, kiedy przedstawiła mi swojego męża:

Dziadku, to jest Heinrich, pobieramy się latem. Chciałam Ci go przedstawić.

Oraz później, gdy przyszła pochwalić się swoim dzieckiem:

To jest Igrid. Zobacz jaka radosna. Cieszy się, że pozna swojego dziadka. Zobacz, ma oczy po Tobie.

Niedługo potem przestała przychodzić. Zanim to nastąpiło, w okolicach zrobiło się głośno od wybuchów, noce jaśniały od błysków. Przez korzenie doszły mnie wieści, że to wojna. Na szczęście żaden pożar nas nie ogarnął i niedługo potem znów nastał pokój.

Nie rosłem już dalej na cmentarzu, przekształcono ten obszar w park. Ludzie, którzy się teraz pojawiali, mówili w innym języku. Początkowo było ich niewielu, jakby nie czuli się zbyt pewnie. Stopniowo ich liczba rosła, a wokół toczyło się głośne życie. Słychać było znów pociągi, tramwaje oraz odgłosy budowy nowych

domów. Ludzie przychodzący do parku nie byli zadumani. Było wśród nich dużo więcej radości, młodsi często głośno się śmiali, bawili. Niektórzy więksi spacerowali powoli, prowadząc swoje domowe psy. Inni znowu spieszyli się dokądś, czasem nawet biegli.

Mimo radości wokół, ja czułem pewną pustkę. Brakowało mi Marthy, słuchania jej ludzkich opowieści. Uświadomiłem sobie, że czasy się zmieniły i ona już nie wróci. Może nawet już odeszła? A ludzie przecież nie mają korzeni, nie są połączeni tak jak my, drzewa. Straciłem nadzieję. I wtedy pojawiła się ona.

Ni z tego ni z owego przybiegła pod mój pień, ciężko dysząc, jednocześnie podśmiechując się pod nosem.

Ciii - powiedziała, - nie szum teraz, bo mnie znajdą. Bawimy się w chowanego.

Nikt jej najwidoczniej w porę nie zauważył, co wywołało jej euforię. Objęła mnie.

Jesteś super, nie wydałeś mnie! Wygrałam! Będę częściej się chować pod tobą, wiesz? Jestem Zuzia, tak w ogóle. A jak ty się nazywasz?

Zaszumiałem swoje imię w naszym drzewnym języku, a ona pokiwała głową.

Później często mnie odwiedzała. Przypominała mi Marthę, choć to mogło być błędne wrażenie, ludzie są do siebie tak podobni. Jedno jednak łączyło obie dziewczyny. Opowieści o codzienności.

Dostałam dziś w szkole szóstkę za obrazek. Widzisz? To moja mama, tata i młodsza siostra w wózku. Spacerujemy po parku. Zobacz. Tutaj ty jesteś. Ładnie cię narysowałam, no nie?

Sprzątaliśmy ostatnio osiedle. Strasznie ludzie śmiecą, wiesz? Nazbieraliśmy klasą z pięć dużych worków śmieci. Wam drzewom się pewnie też nie podoba, jak my ludzie tak śmiecimy.

Och tak, nieporządek i brak szacunku dla starszych istot, takich jak my, boli nas bardzo. Dobrze, że są wśród ludzi takie osoby jak Zuzia, które rozumieją potrzeby Przyrody. Oby było ich jak najwięcej.

Dziewczynka nie odwiedzała mnie co dzień, bywała jednak dość często, a ja niecierpliwie oczekiwałem jej wizyt. Dziś zobaczyłem ją idącą wokół parku w towarzystwie starszej kobiety. Już myślałem, że mnie ominie, kiedy kobieta wskazała na mnie i obie przyspieszyły do mnie kroku.

Cześć, to jest pani z Niemiec. Spacerowała po parku i czegoś szukała. Zapytałam ją czy mogę jej pomóc. Powiedziała że szuka pewnego drzewa. I chyba je znalazła. Czy to twoja znajoma?

Nie kojarzyłem jej. Ludzie są zbyt do siebie podobni. Chciałem więc zaprzeczyć ruchem gałęzi, gdy kobieta podeszła bliżej.

Dzień dobry, jestem Igrid, twoja prawnuczka - powiedziała w języku, który bardzo rzadko teraz się tu słyszy.

Wtedy pomyślałem: Może ludzie mają jednak korzenie, takie jak my?

Zapraszamy do kontaktu

facebook.com/stowarzyszeniechowaniec

www.chowaniec.org

stowarzyszenie.chowaniec@gmail.com

youtube.com